



№ 393.

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 6 kwietnia 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:

Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Stanisław Pilat (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Kwestarze (drzeworyt). — Obrazy z życia i natury (z dwoma drzeworytami). Dokończenie. — Ludwik Panczykowski (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Wrażenia z podróży (dokończenie). — Kronika bibliograficzna. — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Antoni Oleszczyński (dalszy ciąg). — Przegląd polityki zagranicznej. — Korespondencya od redakcyi. — Helena, powieść, (dalszy ciąg).

Stanisław Pilat.

Równocześnie prawie z Wagilewiczem, umarł w roku zeszłym Stanisław Pilat, należący do owego starszego grona literatów, co zapamiętali jeszcze czasy Jana Nep. Kamieńskiego i Walentego Chłędowskiego i pod ich kierunkiem pierwszych sił swoich doświadczali. Szczupłe ich dzisiaj pozostało już grono. Zaledwo kilku da się naliczyć. Grono to ze śmiercią Pilata znów się zmniejszyło.

Stanisław Pilat urodził się w Krasnymstawie w r. 1802. Ukończywszy nauki początkowe w Hrubieszowie, przybył na nauki wyższe do Lwowa. Równocześnie przybył w tym samym celu do Lwowa Wincenty Pol z Lublina. Najstalsza przyjaźń zawiązuje się na ławach szkolnych, zwłaszcza jeżeli odpowiadają sobie wzajemnie usposobienia i dążności. Obadwaj młodzieńcy w najserdeczniejszą weszli z sobą zażyłość, a przyjaźń ta przetrwała do chwil ostatnich. Losy ich były w znacznej części podobne, bo wiele przejść i kolei spólnie przeżyli. Obydwaj od młodości całym gorącym dążeniem rzucili się na pole nauki, a gdy Pol zasłynął jako poeta, Pilat umiejętnie badał zasady sztuki i rozpatrywał ową dziedzinę estetycznego piękna, którą przyjaciół jego Wincenty twórczym talentem obficie zbogacał.

Gdy przybyli do Lwowa, była to właśnie chwila budzącego się ruchu literackiego w Galicyi. Toczyła się jeszcze w Warszawie walka romantyków z klasykami, a echo jej silnie odbiło się w Lwowie. Walenty Chłędowski zgromadził około siebie młodych pisarzy i zbierał materiały do swego *Haliczanina*. Bielowski z Siemieńskim zwrócili się do pieśni ludu i tam szukali nowych barw poetycznych dla odradzającej się literatury. Eugeniusz Brodzki, Baltazar Zbrożek, Klemens Bogucki oddawali się gorliwie pracom naukowym i próbowali piór młodzieńczych. Do tego grona utalentowanej, z poważniejszej strony pojmującej zadanie życia młodzieży ówczesnej we Lwowie, należeli Pol z Pilatem.

Wszelako wkrótce rozłączyć się musieli młodzi przyjaciele. Pol przeniósł się do szkół jezuickich do Tarnopola, a następnie, dla uzyskania stopnia akademickiego, do Wilna. Pilat oddał się głównie zawodowi pedagogicznemu i przyjął posadę nauczyciela u ks. Wł. Sanguszki w Gumniskach. Z poręczonym dozorowi swemu uczniem, odbył podróże kilkoletnie zagranicę do Włoch i Francyi, gdzie miał sposobność poznania tamtejszych zbiorów naukowych, tudzież dzieł sztuki, których był wielkim miłośnikiem i znawcą. W owym także czasie wystąpił po raz pierwszy jako pisarz na arenie literackiej. Dała powód ku temu *Gramatyka języka polskiego*

Jana Nep. Deszkiewicza, tudzież dzieło Mateusza Szreniawy Sartyniego: *Wortforschungslchre der polnischen Sprache*, w którym autor, usiłując zbadać istotę języka polskiego, oryginalny rozwinął pogląd. Pilat ostro skrytykował oba dzieła, a rozprawy jego w tym przedmiocie zwróciły uwagę literackiego świata na spór który się o dzieła powyższe zawiązał. Było to właśnie w czasie, kiedy Wincenty Pol osiadł stałe we Lwowie i wezwany przez kuratorkę Zakładu naukowego Ossolińskich, zaczął wydawać imieniem Zakładu pismo zbiorowe. Wszystko co tylko odznaczało się talentem i oddawało się literaturze, zarówno starsi uczeni, jak rozpoczynająca

a-zwrócił się wyłącznie na pole literatury i estetyki. Wkrótce wydał tragedję *Strusiowie*, oryginalnie wiérsem napisaną, a w parę lat później *Zosią Morstynównę*, dramat prozą. Wówczas także powziął zamiar napisania dla szkół historii literatury i estetyki; wszelako zaniechał go, gdy zapowiedziana reorganizacya szkół nie przyszła do skutku, a natomiast zaczął pracować nad obszerniejszego zakresu dziełem w tym przedmiocie.

Ukończywszy wychowanie młodego księcia Sanguszki, przeniósł się Pilat na stałe mieszkanie do Lwowa. Oddanemu pracom naukowym, wielce na ręce było zbliżenie się ku ognisku, w którym gromadziły się najpierwsze siły umysłowe, i gdzie publiczne i prywatne biblioteki nastęrczały łatwiejszą sposobność do naukowych badań. Książę Sanguszko namówił go, aby otworzył we Lwowie zakład wychowawczy młodzieży meżkiej. Jako pedagog, od dłuższego czasu poświęcający się temu zawodowi, dawszy się zaszczytnie poznać jako pisarz na polu naukowym, mógł Pilat z góry liczyć na powodzenie. Wszelako aby otrzymać zezwolenie rządu, potrzeba było wykazać się stopniem akademickim, dla udowodnienia odpowiedniego uzdatnienia ku przewodniczeniu tego rodzaju zakładowi. Udał się przeto Pilat wprzód jeszcze do Krakowa i w akademii Jagiellońskiej uzyskał stopień doktora filozofii, poczem przybył do Lwowa i otworzył wspomniany zakład, który odrazu nabył wziętości i przez lat kilkanaście, aż do śmierci Pilata, miał sławę pierwszego zakładu wychowawczego, gdzie młodzież najznakomitszych rodzin wzorowe odbierała wykształcenie.

Gdy Pilat osiadł we Lwowie, dom jego stał się punktem zebrania ludzi pióra i nauki. Na sobotnie wieczory u niego zgromadzali się, oprócz literatów i pisarzy z zawodu, wszystkie miejscowe znakomitości, profesorowie i artyści, lekarze i adwokaci, wszyscy słowem pracujący na polu umysłowym, w jakiejkolwiek dziedzinie umiejętności lub sztuki. Pod tym względem oddał Pilat znakomite usługi rozwojo-



STANISŁAW PILAT. (Podług nadesłanej fotografii).

zawód pisarski młodzież, zaczęło się gromadzić około Wincentego Pola i zasilac redakcyą Biblioteki Ossolińskich. W tém to piśmie umieścił także Pilat rozprawę o języku polskim, zawierającą krytyczny rozbiór pomysłów Sartyniego, wyłożonych w jego *Wortforschungslchre*, której to rozprawie dał za godło dwuwiersz z Krasickiego:

Piękna myśl latać, gdy się komu godzi,
Bezpieczniej jednak kto po ziemi chodzi.

Nie poprzestał Pilat na powyższego rodzaju pracach lingwistycznych; owszem, gdy ucieł spór przez niego podjęty, zaprzestał badań językowych,

wi życia literackiego miejscowego, przyczyniając się do utrzymania go na odpowiedniej zadaniu wysokości. Oprócz tego były sobotnie zebrania u Pilata nader miłym miejscem towarzyskiej pogadanki, gdzie w dobranym towarzystwie przyjemnie czas schodził. Kto z obcych uczonych lub literatów zamiejscowych przyjeżdżał do Lwowa, starał się przede wszystkim być wprowadzonym na wieczory do Pilata. Tu miał najlepszą sposobność zaznajomienia się odrazu z całym gronem poważniejszych literatów miejscowych, a uprzejme przyjęcie ze strony gospodarza, miłe u każdego pozostawiało wspomnienie.

Głównym przedmiotem naukowych badań Pilata

była estetyka. Jako krytyk zajął on znakomite w piśmiennictwie stanowisko, lubo mniej głośne, dlatego że najczęściej pisywał bezimiennie. Z kolei był on współpracownikiem wszystkich celniejszych pism w Galicyi. Niebawem po osiedleniu się jego we Lwowie, założył w roku 1852 Karol Szajnocha, nowe pismo peryodyczne *Dziennik literacki*. Zaproszony do współpracownictwa Pilat, objął krytykę teatru, około podniesienia którego podówczas mocno się krzątano. Związany w tym celu komitet znawców, po usunięciu od dyrekcji Chęłchowskiego, począł czuwać nad kierunkiem i ulepszeniem sceny.

Jeżeli rozwój sceny zależy od dyrekcji i publiczności, niemniej też zawisł on od światłej i znawczej krytyki, umiejaczej wytknąć jej należyte kierunki i czuwać nad jej rozwojem. Zadanie to nie mogło być nikomu stosowniej poruczone jak Pilatowi. Głęboki znawca w rzeczach sztuki, daleki od wszelkiej stronniczości, umiejętnym swym ocenieniem przyłożył on się w znacznej części do lepszego, podnioslejszego kierunku sceny, do uszlachetnienia smaku publiczności i rozpowszechnienia głębszego sądu w przedmiocie sztuki dramatycznej. Oprócz tego umieścił on w *Dzienniku literackim* ważną rozprawę: *Wycieczka w dziedzinę historii i literatury*. W niej wykazuje, że na rozwój literatury każdej trzy różne działają wpływy, mianowicie wpływ teluryczny, to jest wpływ fizycznych właściwości kraju, w którym żyje naród pielęgnujący literaturę, wpływ pochodzenia plemiennego i wpływ przeszłości dziejowej. Pod temi trzema wpływami wyrabia się kierunek literatury, one też wyciskają odrębne piętno na obliczu piśmiennictwa każdego narodu. Zadaniem historii literatury jest wyświecić działanie tych wpływów, ich wzajemne równoważenie się i skutki objawiające się w różnorodnych kierunkach piśmiennictwa. Myśl tę, w zastosowaniu do naszej literatury, w następujących streszczeniach:

„Nasza historia literatury w ogólności jeszcze nie pojęła całkiem zakresu swego. Przemaga w niej wyliczenie zjawisk i materyalna tychże strona, podczas gdy pojęcie tych zjawisk w stosunku do innych warunków bytu społecznego, do ogólnej cywilizacji, do sztuki pięknej, tudzież wyjaśnienie natury utworów sztuki, ich znamion swojskich lub wtrącającej się obczyzny, wszystko to prawie odłożeniem leży. Bez wątpienia że wtedy sama historia literatury wyrośnie na coś więcej jak cześć dotychczasowe katalogowanie, a przybierze poważniejsze i bardziej zajmujące oblicze. Będzie to filozofia literatury, spleciona z dzisiejszemi zewnętrznymi o książkach i ich losach wiadomościami; ale któżby wątpił że ostatnie bez pierwszej są życiem bez świadomości o sobie, może nawet ciałem bez duszy?...”

Słowa te, wyjaśniające ogólny pogląd Pilata na literaturę, wskazują oraz zasadę, na której jako krytyk opierał się w ocenieniu jej objawów. Gdy Karol Szajnocha, otrzymawszy posadę kustosa przy Zakładzie naukowym Ossolińskich, nie miał już czasu oddawać się publicystyce, i zlecił redakcją *Dziennika literackiego* Felicjanowi Łobeskiemu, aż następnie przeszła w ręce Jana Dobrzańskiego, Pilat usunął się od współpracownictwa.

Dziennik literacki pod redakcją Dobrzańskiego, lubo zatrzymał dawną nazwę, zmienił się znacznie, zarówno pod względem treści jak wartości. Z pisma ściśle naukowo-literackiego, *Dziennik* stał się pismem o wiele lżejszem, zapełnionem w przeważnej części powiastkami i wierszami. Miał *Dziennik literacki* w owej epoce tę zasługę, iż garnął ku sobie pióra młodsze, młode talenta, które znajdując w kolumnach *Dziennika* otwarte pole, tam pierwszych sił swoich doświadczały i wyrabiały się. Dodały wartości *Dziennikowi* artykuły znakomych powieściopisarzy, jak Dzierzkowskiego i Jeża, którzy przez lat kilka byli stałymi *Dziennika* współpracownikami. Wszelako barwa głównie beletrystyczna, jakkolwiek przysparzała mu czytelników i czytelniczek, nie mogła zadowolić wymagań naukowych, coraz głośniej domagających się poważniejszego dla siebie organu. Do tego jeszcze *Dziennik literacki* szedł drogą pewnych koteryjnych względów i w poglądach redakcyjnych, w ocenieniu dzieł nowo wychodzących, w dotykaniu bieżących kwestyj literackich i społecznych, wybuchł nieraz namiętną stronniczością. Coraz tedy bardziej dawała się czuć potrzeba poważniejszego, więcej przedmiotom ściśle

naukowym poświęconego pisma, które zarazem odpięłoby stronnicze, w dyktatorską toż przybrane uroszczenia. U Pilata dojrzała myśl wydawania *Kółka rodzinnego*, którego redakcją objęli Zacharyasiewicz i Aleksander Szedler. Pilat umieszczał w niem recenzje dzieł nowowydanych i sprawozdania krytyczne z literatury bieżącej. W owym czasie powzięto myśl urządzenia wystawy obrazów we Lwowie na cel dobroczynny. Pilat, wezwany do komitetu zajmującego się urządzeniem wystawy, pisał o niej następnie w *Kółku rodzinnem*.

Po roku istnienia, zaprzestało wychodzić *Kółko*, i Pilat znowu usunął się od publicystyki. Pracował tymczasem nad obszerniejszem dziełem, obejmującym zasady estetyki, czyli filozofią sztuki i teorią wymowy. W niem złożył plon wieloletnich na tém polu badań. Dzieło to pozostawił ukończone, pod tytułem: *Teoryja wymowy i literatury*. Rękopis, przygotowany do druku, oczekuje nakładcy.

Gdy August Bielowski rozpoczął wydawać nowy poczet *Biblioteki Ossolińskich*, wezwany do współpracownictwa Pilat umieścił w niem rozbiór przekładu Jana Wiernikowskiego sagi o Frithiofie, tudzież rozprawę naukową: *Studia estetyczne*, wyjątek z obszerniejszego dzieła.

Mniej szczęśliwym był Pilat jako autor dramatyczny. Znaństwo nie daje jeszcze talentu twórczego. W dramatach jego w ogóle niema inwencji, którą autor zastąpić usiłuje kolizjami naciąganiem sztucznie, skomplikowanemi i zużytemi. W tragedii *Strusiowie* sam już zawiązek jest zupełnie nieswojski, nieprzystający do poważnych wojewódzkich komnat Strusiowskiego zamku, do surowego przodków naszych obyczaju. Niema też w niej prawdziwie tragicznych charakterów, a tło historyczne już przez samą nieswojską intrygę skrzywione. Oprócz gładkiego wiersza, tragedji tej nie można innych przyznać zalet. W *Zofii Morsztynównie* Pilat o wiele już lepiej odpowiedział zadaniu dramatu. Treść jej, osnuta na wypadkach wojny szwedzkiej z czasów Karola XII, więcej ma barwy dziejowej i interesu dramatycznego. Wreszcie *Morsztynówna* jest charakterem dobrze dobranym na bohaterkę dramatu i należycie przez autora wycienionym. Pilat nie był poetą, a trudności wiersza i rymu być może iż wiele wpłynęły na to, że tragedia *Strusiowie* mniej ma życia i ciepła od *Zofii Morsztynówny*, napisanej prozą.

Oprócz powyższych dwóch sztuk dramatycznych, napisał Pilat libretto do operetki *Młynarz i kowal*, do której muzykę dorobił Puniewicz. Operetka ta nie była dotąd przedstawiona na scenie. Pozostał także Pilat *Pamiętniki*, z których zajmujący ustęp umieszczony był w *Album lwowskiem*, wydanem przez Henryka Nowakowskiego.

Obrany radnym miejskim, zwrócił Pilat przedewszystkiem uwagę swą na archiwum miejskie, pozostające w zupełnym zaniedbaniu. Archiwum miasta Lwowa posiadało wiele bardzo ważnych dyplomatów, odnoszących się do dziejów miasta i kraju, począwszy od XIV wieku. Nieszczęsnym atoli zbiegiem okoliczności podpadło ono w ostatnich czasach wielkiemu zniszczeniu. Przez długie lata pozostawało bez pieczy i dozoru. Przystęp do niego dozwolony był każdemu i wiele dokumentów najważniejszych i najstarszych zginęło. Wreszcie, podczas pożaru gmachu ratuszowego, wyrzucone z dawnego swego schowku i w dwóch otwartych złożone skrzyniach, pozostawione w kacie strażnicy miejskiej, butwiały w pyle i zapomnieniu, a ponieważ skrzynie nie były zamknięte, więc znowu ubywało dokumentów, bo je brał kto chciał, pierwszy lepszy pompier zamieszkujący strażnicę. Ażeby pojąć to tak wielkie zaniedbanie nader ważnych źródeł i pomników historycznych, przypomnieć należy że wydział gminny miasta Lwowa składał się z takich tylko osób, z których żadna nie była dostatecznie wykształcona, ażeby przynajmniej ze ściśle naukowej strony wartość tych dokumentów zdołał ocenić i zwrócił na nie uwagę osób będących u steru. Dopiero gdy w r. 1861 nastąpiła reorganizacja gminy, a na miejsce dawnego Wydziału, powołaną została Rada miejska, w której gronie zasiadł Pilat, zwrócił on, jak powiedziałem, pierwszy uwagę na potrzebę uchronienia od dalszej zagłady archiwum miejskiego i uporządkowania onegoż. Na jego wniosek, poruczono uporządkowanie archiwum ś. p. Wagilewiczowi, umieściwszy je wprzód odpowiednio w dwóch

sklepionych izbach wieży ratuszowej. Nie można było lepszego uczynić wyboru i znaleźć kogoś więcej uzdatnionego do czynności podobnego rodzaju, jak był Wagilewicz. Rozpoczął też gorliwie powierzona mu pracę, pod nadzorem wyznaczonej przez Radę komisji znawców, w której skład wchodził Bielowski i Pilat. Większa część dokumentów została odczytana i przekopowana, ważniejsze opatrzone objaśnieniami naukowymi i do ogłoszenia drukiem przygotowane. Nie było jednak przeznaczono ani Wagilewiczowi, ani Pilatowi ujrzyć ukończone dzieło uporządkowania archiwum miejskiego, około którego obydwa w równej mierze się zasłużyli, Wagilewicz że się niem zajął pilnie, z neutrudzoną gorliwością, Pilat że pierwszy poruszył potrzebę uratowania go od dalszego zniszczenia.

W ostatnich latach zaczął Pilat często podupać na zdrowiu. Na wiosnę roku zeszłego doznał uderzenia apoplektycznego, z którego jednak podniósł się, za staraniem lekarzy lwowskich. Nie odzyskał wszelako już całkowicie zdrowia. Na lato, podczas feryj szkolnych, wyjechał do rodziny swjej do Niemirowa, w obwodzie żółkiewskim, w nadziei że zmiana powietrza i wypoczynek od zwykłych zatrudnień przyczyni się do powrotu zdrowia. Nadzieja ta omyliła. Tknięty ponownym napadem apopleksyj, umarł w Niemirowie dnia 13 sierpnia 1866 r. Z.

Kronika tygodniowa.

Przyznam się że czytanie doniesień i ogłoszeń w pismach peryodycznych różne myśli czasem mi nasuwa.

Człowiek-bo mniema wtedy że jest w raju: tu zachwalają to, tam owo ofiarują, a wszystko dla wygody publicznej i ogólnego ludzkości dobra. Szczególniej ci obywatele z prowincyi, co to się początkowemi podpisują literami, już widocznie dybią na naszę kieszeń. Każdy z nich przyjeżdża do Warszawy i odkrywa jakiś nieoszacowany przymiot w hotelu, garkuchni, w handlu winnym lub piwiarni, że już o krawcach i szewcach przemilczę. A rozmaite stroje, materye, koronki, płótna i t. d., co się za połowę kosztu sprzedają w sklepach; a książki, których cena na krótki już tylko czas zniżona; a papier listowy z cyframi, nawpół darmo odstępowany, — człowiek aż się gubi w tym chaosie.

Najwięcej jednak zajmują mnie kasy bezpieczeństwa. O tych kaach codziennie prawie czytamy ogłoszenia. Kupujcie kasy, to najlepszy sposób przechowania pieniędzy! Wierzę, jeżeli kto je ma. I ja chętnie zakupiłbym kasę, bo wszakże tam takie sztuczne zamki i skrytki, że ani złodziej, ani ogień ich nie dosięgną. Ale jak spojrzę na cenę: sześćset, pięćset, czterysta rubli, to pytam się siebie, kto może taki sprzęt nabyć? W istocie, gdybym posiadał zbywających sześćset rubli, wolałbym je schować w szufladę od stolika, albo gdzie na dno kuferka, aniżeli robić za nie nabytek tego kosztownego żelaztwa.

I podług mnie kasy nietyle na chowanie pieniędzy się zdadzą, ile na udawanie że się je posiada. Kasa taka wygląda okazale. Postawiona w osobnym pokoju, gra mistrzowsko swoje rolę, bo kiedy jest kasa, to w niej przecie coś być musi do schowania, tém bardziej, że kosztuje ona niemało; bez celuby jej przecież nie kupowano. Więc ludzie rozpoczynający jakiegobądź interesa pierwszy nabytek czynią z kosztownej kasy. To ich szyld, ich poręczenie. Kasa przyciąga, jak magnes. I od złodziejstwa ochrania ona może, ale od bankructwa nie. Zauważano że właściciele najkosztowniejszych kas, zwykle najgorzej stoją w interesach.

Szkoda jednak że nie wynaleziono jeszcze kas kieszonkowych, dla ochronienia od złodziejów ulicznych, bo ci od pewnego czasu coraz bardziej mnożą się w Warszawie. U drzwi świątyni Pańskich, przy wyjściu z widowisk publicznych, na przechadzkach, a głównie w omnibusach, trzeba mieć pilne baczenie, bo o kradzież tam łatwo. Gdyby ci panowie otwarci chcieli nam zaproponować na siebie składkę, tobyśmy ich woleli własnym kosztem wysłać na wy-

stawę paryżką, gdzieby znaleźli obszerniejsze aniżeli tutaj do odznaczenia się pole.

Rozpowiadano nam o wypadku, który miał się niedawno wydarzyć w jakimś sklepie, i rzecz jest prawdopodobna, chociaż za prawdziwość jej nie ręczymy.

Jakaś pani przyjechała do sklepu za kupnem towarów. Wnet usłużni subjekci powydobywali materye z pólek, koronki z pudełek i tysiące tych różnych drobnostek, których rzeczywistą cenę moda tylko stanowi. Wybór trwał długo, bo sprawa to nielada na kilka rautów obmyślić toalety. Kiedy już wreszcie, z pomocą subjektów i samego właściciela sklepu, wybrano kilka stosownych niuansów, pani wydobyla z kieszeni pugilares i poczęła liczyć pieniądze.

W tej chwili drzwi otwierają się z trzaskiem i wpada do sklepu jakiś mężczyzna porządnie ubrany, z miną arcy zagniewaną.

— A! złapałem cię przecie! zawołał, rzucając się ku owjej pani. Więc moje ciężką pracę trwonisz na zbytki! Oddawaj pieniądze!

Irzekłszy to, wydarł jej z ręki paczkę papierów bankowych, z których właśnie wydzielala to co kupcowi za towary przypadalo i szybko oddalił się ze sklepu.

Oskupiała na chwilę pokrzywdzona, rzuciła się za nim, ale widząc że znikł bez śladu, wróciła do sklepu, powstając z oburzeniem na kupca:

— Jakże pan mógłś dać mnie tak pokrzywdzić? Wszak jesteś sam mężczyzną i masz tylu subjektów pod ręką.

— Wybacz pani, odrzekł kupiec, wzduszając ramionami, ale nie mam zwyczaju wdawać się w to co do mnie nie należy, a zwłaszcza w rozterki małżeńskie...

— Ale to nie mój mąż!

— Jakto, nie mąż pani?

— A tak, ja tego pana pierwszy raz w życiu widzę.

Rzeczywiście, był to zręczny oszust, który wynalazł ten dowcipny sposób okradzenia przestraszonych kobiet....

* * *

W Belgii obecnie zawiązał się komitet, mający, dla uczczenia pamięci Servais'go, postawić temu znakomitemu muzykowi pomnik w mieście jego rodzinem. Wiadomo że Servais u nas bardzo wielu liczył przyjaciół. Otóż jeden z najgorliwszych wielbicieli talentu zmarłego artysty, p. J. J., odebrał w tych dniach wezwanie od prezesa wspomnianego komitetu, aby dla użytku rzeźbiarza mającego posąg Servais'go wykonać, nadesłał portret fotograficzny przez pana Mieczkowskiego w Warszawie w zeszłym roku wykonany. Portret ten uznany został ogólnie za najlepszy i najwierniejszy, a niemały to dla p. Mieczkowskiego zaszczyt; Servais bowiem fotografował się we wszystkich prawie stolicach europejskich, odnieść zaś zwycięstwo nad paryżkami, londyńskimi i wiedeńskimi fotografami, niełatwą jest rzeczą. W każdym razie komitet brukselski musiał dabrze zbadać wszystkie fotografie, zanim stosowny uczynił wybór. Sami czytaliśmy odezwę o której wspominałyśmy, a uznanie to powinno być zachętą dla pana Mieczkowskiego, jak również i dla innych naszych fotografów, budząc w nich przekonanie, że przy staranności i dobrej woli mogą śmiało współzawodniczyć z najznakomitszymi zakładami fotograficznymi w Europie, a nawet odnosić nad nimi zwycięstwo.

* * *

W teatrach cisza; porządek zapowiedzianych kilku sztuk nowych zamącony został, skutkiem niespodzianej słabości Królikowskiego; którego udział stał się obecnie niezbędnym prawie we wszystkich większego rozmiaru sztukach. I nie dziwi się temu, wysoki bowiem jego talent nagina się do różnych rodzajów, a często nawet, szczególnie w poważniejszych sztukach, powierzane mu bywają role, które zdawałyby się wychodzić po za sferę scenicznej jego działalności. Sama jednak wiadomość że Królikowski bierze udział w sztuce, jest już niejako zapewnieniem jej powodzenia. I jakkolwiek sami z niecierpliwością czekamy chwili powrotu Królikowskiego na scenę, pragnęlibyśmy jednak ażeby zbyt wczesną pracą nie naraził na szwank zdrowia,

tak drogiego dla wszystkich wielbicieli jego pięknego talentu.

Przed świętami jeszcze zapowiadają nam przedstawienie komedyi Fredry (syna) *Śpiwka wujaszka*, w której ma wziąć podobno główny udział Żółkowski, jako synowiec wujaszka tytułowego. Inna także komedyjka, tłumaczona z francuzkiego, *Po dwóch latach*, ma się wkrótce ukazać na scenie. Zapowiedziane przedstawienie *Rodziny Bénéiton* musiało zostać odłożone, jedną bowiem z głównych ról ma tam grać Królikowski. Upewniano nas również że artyści uczą się komedyjki wiérsem Chęcińskiego *Cicha woda brzegi rwie*, która świeżo drukowana była w naszym Tygodniku. Jeszcze przez miesiąc z górą teatru nasze korzystać mogą ze stosownej dla siebie pory, mniej więcéj bowiem w połowie maja ustalona już u nas pogoda grozi przedstawieniom teatralnym niebezpiecznym współzawodnictwem wiosennych przechadzek. Należałoby więc na ten czas, tak niepomysłny dla kasy teatralnej, przygotować bardzo zajmujący repertoar, żeby mózdz skutecznie stawić czoło ogólnej obojętności. Wiedzą o tém dobrze koncertanci, i rzadko który z nich po świętach wielkanocnych ośmielił się wystąpić z zapowiedzią uroczystości muzykalnych. Nawet termin ukończenia prelekcij publicznych zbliża się już wkrótce, a przy tej sposobności donosimy czytelnikom, że piękny wykład doktora Struvego *O estetycznym wychowaniu kobiety*, który przywabił do auli Szkoły głównej tak liczne grono słuchaczów, a zwłaszcza słuchaczek, umieszczony niezadługo zostanie w naszym piśmie, i dlatego, pragnąc zachować temu zajmującemu artykułowi całą jego ciekawość i świeżość, nie dajemy tu o nim sprawozdania.

* * *

U jednego z tutejszych kupców poczyniono niedawno obstalunek kilkunastu przedmiotów do handlu jego należących, które miały być razem zapakowane i przesłane na prowincyę.

Po uskutecznionej przesyłce, handlujący nasz otrzymał list następującej treści.

„Szanowny panie.

Przesłane mi przez pana artykuły odebrałem i za staranne ich wyekspedowanie dziękuję. Nie moge jednak przenieść na siebie, żeby nie zawiadomić pana o nadużyciu, które wkradło się w przesłany przy ekspedycji rachunek, a które zaszło zapewne skutkiem nieuwagi, lub nawet może zléj wiary którego z pańskich subjektów. Rachunki takie mam zwyczaj sam dokładnie przeglądać, a to dla usprawiedliwienia przysłowia, że pańskie oko konia tuczy; otóż wszystkie pozycye znalazłem zgodne z wliczonemi tam przedmiotami i tylko z zadziwieniem wyczytałem

za ambalaz kop. 60.

Wymienionego tu *ambalazu*, który to towar, nawiasem mówiąc, nie został przezemnie u pana obstalowany, nie odebrałem wcale i moge ręczyć że w paczce jaka mnie doszła wcale się nie znajduje. Jest to wprawdzie drobnostka tylko i summę należną przesyłam w całości; ale zechcesz pan odtąd baczniejsze oko zwracać na swoich subjektów, którzy podobnego rodzaju nadużycia dobrej wiary kupujących częściej mogą sobie pozwalać, jeżeli pan temu nie zaradzisz. Odesłanie mi wspomnianego *ambalazu* albo nie, zostawiam do woli pańskiej. Mam zaszczyt i t. d.“

Jest to fakt rzeczywisty, o którego prawdziwości samiśmy się przekonali, chociaż trudny napozór do uwierzenia.

* * *

Szanowny kronikarzu!

W obecnym terminie kwartalnej zmiany sług, może nie będzie od rzeczy wskazać matkom i żonom naszym warunki, pod którymi mogą znaleźć usługę potrzebną. Ku temu celowi komunikuję ci fakt autentyczny, który zdarzył się w jednym z tutejszych domów obywatelskich. Zgłaszająca się kandydatka, tak zwana *do wszystkiego*, postawiła następujące warunki: zasług kwartalnych rs. 11, bułkowe dziennie kop. 2, chlebowe 3 i pół, piwne (zdaje się że kandydatka miała wstręt do wody) 4 i pół. Dalej zażądała objaśnienia, czy często i wiele bywa gości, bo dotąd z gościewego miewała tygodniowo rs. 1 kop. 80.

Oprócz tego, zastrzegając sobie konieczność wydalania się na *wizyty* we wszystkie niedziele i święta, żądała zarazem wyznaczenia dwóch dni w tygodniu, w których wolno jej będzie przyjmować odwiedziny przyjaciół i przyjaciółek, a to dla utrzymania *stosunków towarzyskich*.

Ostatnie jednak żądanie było najciekawsze.

— Czy mąż pani dobrodziejki posiada jaką znajomość z artystami lub artystkami teatralnymi? za pytała.

— A to dlaczego? odrzekła zaciekawiona pani.

— Bo w takim razie prosiłabym chociaż raz na tydzień o bilet do teatru, ale na galeryę, bo na paradyz bardzo wysoko chodzić i tam dla mnie niestosowne jest towarzystwo.

Niewiadomo mi czy te warunki przyjęte zostały i jakie pani owa uznała za stosowne nawzajem postawić.

* * *

Coraz bardziej rozpowszechnia się u nas nanieiony z Paryża zwyczaj używania kosmetyków, pudrów, farb i t. p. Naprózno ludzie naukowi w pismach publicznych występują przeciwko temu, wskazując szkodliwość pierwiastków we wszystkie prawie tego rodzaju preparaty wchodzących; moda silniejszą jest od obawy nadwreżenia zdrowia. Niedawno donoszono że pan Lindman, profesor chemii, odkrył owad zwany gregariną, jedynie tylko za pomocą mikroskopu widzialny, a gnieźdzący się we włosach ludzkich, mianowicie takich, które nie są utrzymywane w należytej czystości. Gregarina, również jak i trychina, trudną jest do zniszczenia, a najczęściej dostrzegać się daje w szynionach, kokach i tym podobnych dodatkach przez fryzyerów sporządzanych. Zaledwie tylko z włosem razem zniszczyć się daje, a więc niepodobna jej wyplenić z tych przyborów, z których wchodząc do wnętrza człowieka, najgubniejszy wpływ na zdrowie wywiera. Każdy ruch lub czyszczenie sztucznych włosów powoduje opadanie gregariny, a następnie przez wdychanie dostaje się ona do wnętrza organizmu, gdzie rozradzając się, strasznych chorób a nawet śmierci może się stać powodem, zwłaszcza że skutecznego na nią lekarstwa dotąd nie wynaleziono. Niemniej szkodliwemi są wszystkie farby, tak szumnie ogłaszane przez gazety i zalecane przez fryzyerów, a zawierające po większej części w sobie pierwiastki metaliczne, szkodliwe na mózgd działające. Z tego upartego farbowania włosów najmniejesz jeszcze zgubnym następstwem bywa zupełna ich utrata. A przytém któż się nie pozna na farbowanych lisach, kogóż szuka choćby najlepiej pomyślanego figiel fryzyerski? Owszem, takie pracowite ukrywanie niepowetowanych szczerbów wieku przykre bardzo czyni wrażenie i do osoby starającej się w ten niefortunny sposób odmłodnić, możnaby zastosować słowa, jakie król Archidamus wyrzekł do posła stawiającego się przed nim z włosami na czarno zafarbowanemi:

— Cóż możesz mi powiedzieć prawdziwego ty, który fałsz nosisz na głowie?

KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Panu K. R. w Kijowie. Przekład z Freiligratha przydałby się raczej do Wędrowca lub Kłosów. Prosimy o nadesłanie.

SPROSTOWANIE.

W poprzedzającym numerze Tygodnika, na str. 155, w szpalcie 3, wierszach 10 i 11 z dołu, poprzedzano wyrazy, w sposób psujący sens. Powinno być:

Jeślim ci w moim domu, nazbyt może skoro, Władzy w zwykłych szczegółach ustąpił z pokorą, itd.

Na str. zaś 156, w szpalcie 3, po wyrazach:

A teraz, Dosieńko,

Opuszczono wiérsz:

Rządź sobie, ja znów siedzieć będę cichuteńko.

Z powodu wynikłego sporu w kwestyi szachowej, otrzymaliśmy od pana B. W. 1 rubla srebrem na cel dobroczynny. Kwota ta wręczoną została spalizowanej od lat 5ciu p. Borkowskiej, zamieszkałej przy ulicy Piwnej, pod Nr. 94.

OBRAZY Z ŻYCIA I NATURY,

skreślone przez

Wincentego Pola,

z rysunkami

Juliusza Kossaka.

(Dokończenie).

W kronikach nadbałtyckich krain zanotowane są wszystkie zimy, w których się Bałtyk cały okrywa lodem; w każdym wszakże roku obmarzają brzegi jego na znacznej przestrzeni, a Botnicka i Fińska zatoka pokrywa się corocznie jednostajnie lodem, tak iż na saniach można z Klajpedy jechać do Szwecyi, do Finlandyi i Rygi.

W tym to czasie przybywają do portów na południowych brzegach położonych Finy i Czudy, w sa-

rze odkrytego morza łamią te lody w krach olbrzymich i powstają z nich góry lodowe, które nieraz jednej nocy zrastają się w lodowate skały, zalegając przestrzeń mil kilku wszcz, a kilkudziesięciu wzdłuż.

Tu można się spotkać ze wszystkimi plastycznymi kształtami krain górskich. Pomiedzy skałami ciągną się wąwozy i wyłomy i rozlały się niby jeziora, na których lód gładko i równo jak zwierciadło błyszczy. Są tu przepaściste urwiska, grotty i tunele, pionowe skały dziko wydziergane u góry i całe przestrzenie zavalone rumowiskiem luźnych brył lodowych, a wszystko razem przypomina rysunkiem i ostremi liniami na małe wymiary widoki krain alpejskich i ostre łomy alpejskich wapieni.

Lody te są przezroczyste prawie i kryształowe, zielonkowate i seledynowe i świecą w słonecznym oświetleniu wszystkimi kolorami tęczy, a wśród

wiać, czytywać i żyć razem w kole niewielkiem, ale bardzo dobranem. Formy towarzyskie Dony były bardzo łatwe i gładkie, ale głębia jego ducha i uczucia była wielką; ztąd często ponury, wydawał się nieprzystępnym dla wielu, co go nie umieli ocenić. Powierzchność jego była pomimo to okazała i ujmująca i damy szczególnie zajmowały się nim bardzo, a może głównie dlatego, że się szczególnie w towarzystwie dam miał na baczności i trzymał się zdaleka.

Po odbyciu obowiązkowych lat służby wojskowej, otrzymał stopień kapitana w korpusie saperów, ale wojska nie lubił i czuł się bardzo szczęśliwym że się uwolnił od służby.

— Jakże? zapytał mnie z uśmiechem — jak się podobala wczorajsza szlichtada? Piękną miałeś wpan parę...

— Zanim na to zapytanie odpowiem, rzekłem mu,



KWESTARZE. Kopia z obrazu olejnego L. Löfflera, zakupionego w końcu r. 1866 przez warszawskie Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, a wygranego na jedną z akcyj sprzedanych za pośrednictwem p. Hertiga, księgarza kaliskiego. (Podług fotografii K. Beyera).

niach przez reny ciągnionych, i wożą dzieci dla zabawy po lodzie w miastach portowych; w tym to czasie wyprawiają się zawołani myśliwi na wilki, które od połowy grudnia gromadami ciągną z Szwecyi i z Finlandyi ku żmudzkiemu i kurlandzkim brzegom, gdzie więcej żeru i lasu. Głód i czas cieczy pędzi tych szkodników w mniej stróżliwe kraje Kurlandyi; to też, według zdania myśliwych, przebywają wilcy te zatoki w ciągu jednej doby, a wpadłszy na żmudzkie lub kurlandzkie brzegi, są tak głodne, że się wdzierają do chat i do obór po dniu białym, wyrządzając zaraz szkody, gdy się tylko z lodów na ląd dostaną.

Na pozór zdaje się to miła i łatwa wycieczka myśliwska; wszakże morze pozostanie wiecznie morzem, a zamarzła lodowata pustynia jest straszniejszą jeszcze od ziejącej głębi morza bijącego falami.

Północne brzegi obmarzają znacznie wcześniej od południowych grubymi lodami, ostatnie tedy bu-

ciemnej nocy światłem własnym, które się z nich wypromienia.

.....Nazajutrz po owej szlichtadzie spotkałem się w Gdańskiej piwnicy na śniadaniu z hrabią Dona, z którym od dwóch miesięcy w bardzo dobrém żyłem zachowaniu.

Był to człowiek bardzo ukształcony, z którym się we wszystkich towarzystwach spotykałem i który tak w salonach, jakoteż w kołach oddanych umysłowemu życiu, był zupełnie oryginalnym zjawiskiem, bo nie miał ani narowów wielkiego pana, ani pedanteryi i zarozumiałości uczonych. Czytał wiele i polował wiele. Był zagorzałym wielbicielem poezyi i namiętnym miłośnikiem łowów. Zajęty w samotności poezją i naturą, czuł się wśród towarzystwa samotnym. Usposobienie to zbliżyło nas do siebie, i uważano to nawet iż Dona szukał towarzystw w których się z mną spotkać spodziewał. Jakoż poczęliśmy z sobą po całych godzinach rozmawiać.

powiedz mi kapitan, dlaczego nie należałeś do szlichtady i co znaczyło owo ironiczne spojrzenie, któreś na mnie rzucił, gdym cię mijał w porcie, wioząc tę damę?

Dona począł się śmiać.

— Dobry masz pan wzrok, kiedyś w przelocie sanek z oczu moich wyczytał ironią. Nie lubię tych teatralnych przedstawień i dlatego nie należałem i nie należę nigdy do żadnej szlichtady. Nie lubię fikcyi w życiu ani mistyfikacyi, a to jest i fikcyja i mistyfikacyja. Ma to być coś dzielnego i rycerskiego na pozór, a jest rzeczywiście tylko próżną, zbytkową i miękką zabawą. Te pary nie są parami, ci dzielni kawalerowie nie są rycerzami; odejmij pan dzwonki, pochodnie i bukiety, futra i stroje, a nikt na to wszystko ani rzuci okiem. Pojmuję ja to że się świat bawić musi, ale w takim razie wolę się przypatrywać fikcyi, niż być fikcyą, wolę być widzem, niż aktorem w komedyi takiej.

Ja upatrywałem poetyczną stronę w tém wszystkim i opisywałem mu wrażenia jakie z téj wycieczki na lodach wyniosłem.

— Pojmuję to, rzekł, bo od lat kilku żyję co zimę głównie na lodach i jeżeli wspan chęsz poznać poetyczną stronę północnej zimy, to zapraszam do siebie na wieś, a zrobim parę wycieczek na lody morskie i zapolujem na skandynawskie wilki. Lubię morze i odwiedzam na łodzi skandynawskie brzegi, bo nigdzie nie można tak wyszumić z ucisku duszy jak na morzu; ale nie wiem czy nie poetyczniejsze jest życie na lodach—więc proszę z sobą na taką szlichtadę.

Było to raczej wyzwanie, niż wezwanie, i nazajutrz ruszyliśmy w drogę.

Majątek Dony leżał około Klajpedy. Okolica była lesista i ponura. Jednostajne sosnowe bory przerywały tylko czarne doliny, po których się stare rozsiadły dęby...

W takiej to okolicy nad jeziorem położony był myśliwski zameczek Dony. Stare dęby tworzyły tu park naturalny, przypierający do podłużnego jeziora, a mostem, który przez oszyjek jeziora prowadził, wjeżdżało się w ostepy starego parku.

Pomiędzy dębami mignął na uboczu z wieżą jakiś stary mrowaniec z czerwonej cegły, a kilka gotyckich linii mówiło o jego pochodzeniu z czasów krzyżackich.



..... i w wielkich susach wbiegła do sali oswojona wilczyca.

Była to niegdyś siedziba komtura i ta mała gotycka twierdza, w której wielkie były piwnice i schowki, a małe komnaty, należała do najszaconiejszych zabytków téj okolicy.

Na lewo pomijaliśmy mrowaniec, minawszy most, a na prawo leżał obszerny dziedzińiec, z myśliwskim zameczkiem w nowoczesnym stylu.

Dona dobył dwa jabłka z torby podróżnej z wielkim pośpiechem, domyślałem się przeto że wkrótce tu powitamy dzieci; ale w téjże chwili wyleciał od stajen młody łos chowany, z dzwonkiem na szyi, i lecąc w największym pędzie, osadził się dopiero równo z naszymi saniami przed gankiem. Siedząc jeszcze na saniach, dał mu Dona najprzód jedno, potem drugie jabłko, pogłaskał, oklepał i widłak ruszył pędem napowrót ku stajni.

Już tedy przywitanie na wstępie do domu było niezwykłe.

W wielkich sieniach stały ogromne klatki z orłami i skandynawskim ptactwem, które wrzask podniosło za wstąpieniem naszym do sieni.

Nie wiem już tego, czy przyjazd nasz był zapowiedziany, czy dom wiecznie w takim porządku i ładzie trzymany, ale cała służba dworska wyszła na nasze spotkanie i kiedyśmy do pokoi weszli, były ogrzane i wielki stos płonął w ogromnym



Słysząc było iż konie całą siłą sadzą.

kominiem krzyżackim, który z murowańca przeniesiony został do myśliwskiej sali. Na ciosowej kapie tego komina nie było żadnych ani napisów, ani herbów, tylko krzyż wielki komtura.

Sala była ubrana w rogi, łby dzików, jeleni, dzikich kóz skandynawskich i rob, a na kroksztydach łosich i jelenich rogów siedziało ptactwo ugrupowane ozdobnie, zrywając się niby do lotu, tak iż wstąpiwszy do sali, zdało się że to wszystko żyje i z miejsca się zrywa.

Cały dom był bardzo starannie urządzone, ale pewna ponurość i odrębna oryginalność pana domu malowała się we wszystkiem.

Gdyśmy się już przed owym komturą kominem rozsiedli, otworzyły się nagle drzwi, widocznie silnym uderzeniem rozwarte, i w wielkich susach wpadła do sali wilczyca. Rzuciwszy się na piersi Dony, poczęła skomlić i lizać mu ręce i warować znowu pokornie u nóg, a gdy ją pogłaskał i pokaresował, obleciała całą salę po dwa razy dokoła, szalejąc z radości i powróciła znowu pokornie do stóp jego. Była to pieszczona wilczyca, od szczenięcia wychowana przy łóżku Dony, gdzie na niedźwiedziu spała. Szczenięciem przywiózł ją ze Skandynawii i wychował z ręki; sześć lat była w tym domu; szerść na niej połyskiwała się lśniącym, delikatnym włosiem i nietylko że wilczyca nie miała twardego wyrazu i dzikości w oczach, ale owszem bardzo miły i łagodny wyraz, a była tak oblesną, jak tylko pies legawy bywa.

— Moja, moja Rema, moja biedna Rema! Stęskniła się za mną! mówił Dona do niej i włożył rękę w jej straszliwą paszczę, i bawił się jej zębami jak kość słoniowa białemi, a nakazawszy jej aby się u nóg ułożyła, rzekł do mnie:

— Teraz domyślasz się wpań zapewne, dlaczego ja tańczących szlichtad nie lubię; ale jak pan panią Maryą powiozłeś, tak ja pojedę z moją Remą na lody! na lody!

Ostatnie słowa wyrzekł z przyciskiem i w sposobie komendy, a Rema porwała się nagle i ślipia jej zaświeciły po wilczemu.

Dwa dni trwały przygotowania do podróży. Do orszaku myśliwych Dony należało dwóch Żmujdzinów, z których jeden mówił nawet dosyć dobrze po polsku. Język żmujdzki jest tam językiem miejscowego ludu, i Dona mówił płynnie po żmujdzku z domownikami swemi. Ci dwaj Żmujdzini, byli to zawołani myśliwi na lodach, kuci, choć w chodakach, a zagorzali, jak to zwykły być Żmujdzini, kiedy jest myśliwym. Oni też byli duszą tej wyprawy.

W siedem jednokonnnych sani i w jedenastu ludzi stanęliśmy w Klajpedzie i nimałe wrażenie zrobił w mieście ten myśliwski orszak, gdyśmy się nareszcie spuścili w porcie na lody.

Konie były dzielne, mierzynki rasy żmujdzkiej, które się w stadzie chowały i znały z wilkiem i wilkom bronić się umiały na lesistych paszach. Takie tylko konie są do podobnej wyprawy sposobne.

Na pierwszych saniach jechałem ja z Doną, a Rema grzała nam nogi. Każde sanie miały też po jednym psie wilczarzu, o ostrój, kolczatęj obróży.

Z każdego sania sterczało strzelb kilka; sanie były mocno pakowne, opięte wilczemi i niedźwiedziemi skórami i na ostrych łyżwach osadzone.

Powoli jechaliśmy tedy do Klajpedy, i dopiero na lodach poczęły przyskać konie, gdy im się ulżyło.

Pod baterią która port zamyka, wypalił Dona z pistoletu. Na wałach pokazał się oficer artylerji, powitał Donę jak wojskowego kolegę i pytał gdzie jedzie.

— Po lodach na wilki! była odpowiedź. A każ mi wypalić z działa w kierunku Finlandyi; puść kulę w małych kozłach, bo chcę widzieć jak lód gada, ale nie dawaj ognia, póki nie stanę na lodach.

— A jak cię wilcy zjedzą? zapytał oficer z baterji, to co będzie?

— Mniej jednego śmiertelnika. Każ dać ognia, nabój zaplać.

Jeden z myśliwych ruszył w saniach ku bramie okopu, a my ruszyliśmy na lody; wystrzałami bowiem działowemi próbuje się nietylko siły lodu, ale po tém „jak lód gada“ oceniają znawcy, czy cała już zatoka zamarzyła, czy nie.

Cały nasz tabor czekał na myśliwego, który pojechał opłacić nabój 24 funtowej szmigownicy, a my w pierwszych saniach ruszyliśmy naprzód.

Wyjechawszy daleko od brzegu na lody, dał Dona znak wystrzałem i położył się potem na lodzie. Jakoż po chwili zagwizdała kula działowa po lodzie ostro; zaledwo że pierwsze kozły nie można było policzyć, które przeszły następnie w pogwizd jednostajny, gubiący się gdzieś w nieskończoności.

— Dobrze lód gada! rzekł Dona, możemy choć do Finlandyi jechać po lodzie.

— Ale gdzie istotnie pojedziem?

— Możemy dojechać do północnego przylądka Kurlandyi. W zamku Domesnes mam krewnych i radziby nam tam bardzo byli; a jeżeli to się zdaleko może zdaje, możemy dojechać do windawskiego portu. Na wysokość portu libawskiego przypada ciąg wilków, jeżeli już nie przeszły, i w tej okolicy głównie będziemy krążyli na miłę i dwie od brzegu, bo wilki ciągną gromadnie przez morze, ale zbliżając się do żmujdzkich i kurlandzkich brzegów, dzielą się na partye, zdaje się dlatego, aby się sprzedać i łatwiej żywić. Bezpieczniej tedy jest spotykać się z nimi pojedynczo i na wabia.

Tu pogłaskał Dona Remę, która na saniach leżała. Tymczasem nadciągnął cały nasz tabor. Dona kazał najprzód opatrzyć i wystrugać śnieg i lód z rogu i pęcini koni i świeże zastrubować ocele, których cała torba była w zapasie. Tylko stalowy śrubowany ocel, który nadto często się jeszcze ścina, wytrzymuje taką sanę po lodzie.

Następnie nabito bronie świeżo, a na każdych saniach było cztery dubeltówek i cztery sztuków; przy niektórych znajdowały się mocne, długie bagnety, a były także dwa szturmaki czyli gardłaczce, siekańcami nabite. Każde sanie miały tedy dwaście strzałów, i strzelby nie stały w saniach, ale był pewien rodzaj tulijek, tak iż rzędem obok sania stały i mogły być każdej chwili z łatwością użyte.

— Daj na lodach poczesne! rzekł Dona do starego myśliwego, który z portu wziął z sobą flaszkę grzanego wina.

Dotychczas jechaliśmy w pierwszych saniach, teraz dobył Dona busolę, którą nosił na piersiach upiętą na łańcuszku, i położył ją na lodzie. Jeden ze Żmujdzinów spojrział po busoli, potem po lodzie, upatrzył jakiś ciemny punkt w dojrzanem zaledwo oddaleniu i siadłszy w sanie, ruszył rażno przodem.

Po dziewięć z rana wyjechaliśmy z portu, i jadąc w ten sposób ciągle w jednym oznaczonym kierunku, zostawialiśmy na białym gładkim lodzie siwy szlak za sobą, wypruty ostremi łyżwami sania i ostrzejszemi jeszcze ocelami.

Na otwartem morzu wisiła w pewnej wysokości mgła gęsta i mróz się sadył z każdą chwilą. W powietrzu było zupełnie cicho, a ta uroczysta cisza miała coś bardzo poważnego w sobie.

Mrok już padać poczynął, gdy Dona po raz ostatni położył busolę na lodzie; obaj Żmujdzini spojrzeli po igle i nie zdało im się aby jechać dalej.

Para szła z koni, okrytych ciepłemi, grubemi kocami. W czasie gdyśmy konie wstrzymali, pobięgl jeden ze Żmujdzinów w innym zupełnie kierunku ku zachodowi i powróciwszy, powiada:

— Tam czerni się coś na lodach z daleka, to albo Żaba, albo Pierścienie.

Tak się zwały dwie wielkie granitowe bryły, znane myśliwym i rybakom w tej okolicy, z których jedna podobna była kształtem do żaby, a druga nosiła dwa pierścienie spiżowe do utwierdzania łodzi.

Na ten tedy punkt co się czernił ruszyliśmy na nocleg. Punkt czarny powiększał się z każdą chwilą; była to istotnie bryła z pierścieniami, która na parę sążni sterczała ponad lody, a u pierścieni była wielka rybacka łódź upięta.

Miło na takiej lodowatej pustyni spotkać się ze śladem człowieka. Łódź była nawpół zamrożona w lodzie; znać że tu mróz zaskoczył rybaków i że po pierwszym lodzie pieszo wrócili do domu.

Po jednej stronie burtnicy stanęły sanie, po drugiej konie, a my założyliśmy biwaki w samej łodzi, koło stępu. Kilka luźnych desek które w łodzi leżały, były nam bardzo na rękę, bo położono je pod przednie i zadnie nogi koni. Uderzyło mnie to, że koni nie wiązano, i owszem zdjęto im nawet część okrycia ze łbów, zdjęto chomaty i kantary, a pomimo to nie rozbiegały się, ale stały w miejscu jak je obok siebie na deskach postawiono; dano im tylko świeże koce, na piersiach spięte i szerokiemi poprzęgami przypasane. Pytałem czemu z głów końskich pozdejowano deki.

— Bo na lodzie potrzeba czujności, rzekł mi Dona. Jakby nas wilki napadły, to konie same się bronić muszą i będą. Takie konie nie boją się wilka na lodzie, bo kute, a wilk nie kuty, więc nie ma siły na lodzie, chyba by zniecka uwiesił się u gardła koniowi. Na lodzie nacięra koń na wilka, nie wilk na konia, a te konie, że razem chowane i stadne, trzymają się hurtu.

Dobyto kocioł znacznej wielkości z pokrywą i ustawiono go w środku łodzi. Było to ognisko, czyli raczej olbrzymia fajerka olejem napełniona, o kilkunastu płomieniach. Zażegnęto ten kocioł ogniem, i wielki, jasny płomień oświecił cały tabor.

Jeden z myśliwych kucharzył. Na żelaznym trójnożku nastawiono drugi kocioł duży nad ogniskiem; w tym kotle tajały kawały lodu, aby mieć wodę do pojenia koni i do herbaty. Jakoż cała noc zesłała na tém prawie, że się topił lód w kotle nad ogniskiem i ledwo koło północy były wszystkie konie z kolei napojone.

Czeladź piła grok i jadła przygrzany bigos, koniom dano obrok w torbach, a nam obudwu z Doną dał kucharz jajecznicę z szynką i herbatę z czerwonym winem.

Mgła była opadła i prześlicznie wyiskrzyły się gwiazdy. Rema leżała u stóp naszych, a ognisko gorzało; po drugiej stronie jego leżeli myśliwi; psy tylko czuwały przy koniach. Z północy poczęliśmy drzemać....

Grzmot niesłychany ozwał się nagle na lodach, i wszystko zerwało się na nogi. Ja nie pojmo wałem zrazu coby ten grzmot znaczył, bo już ciż nie grzmi na lodach.

Było to pęknięcie lodów, które się na większym mrozie ścinają, niepodobne ani do grzmotu burz letnich, ani do huków dział, jakies podziemne, ale straszliwsze od jednych i drugich, bo słychać było jak na milowych przestrzeniach lód w różnych kierunkach pękał i jak się z tych szczelin jakies podlodne dobywały gromy....

Przez godzinę może strzelał w ten sposób lód, tak iż w końcu ucho nasze przywykło do tego huk.

Gdy się znowu uciszyło, porwała się nagle Rema i ruszyła jak szalona ku północy... Noc była jasna.

— Będziemy mieli gości! krzyknął Dona. Zgasić ogień, upiąć psy i za broń!

Tak czekaliśmy więcej niż pół godziny może, stojąc każdy za saniami przy broni, zwróćni ku stronie w którą Rema odleciała.

W końcu pokazały się na lodzie trzy ciemne, ruchome punkta, które przybliżały się ku nam z każdą chwilą. Rema igrała z dwoma wilkami; przypadając do lodu i uchodząc znowu przed niemi, wabiła je na tabor z wolna i zdradnie.

Z całego dnia była to najbardziej zajmująca chwila. Dona, który stał pierwszy na prawem skrzydle, skradał się bardzo wolno, posuwając się tylko wówczas naprzód, kiedy Rema szalała z wilkami. Oczy jednego z wilków świeciły się nam jak latarnie; aż nagle Dona dał ognia... Na ten strzał poczęła Rema uciekać co siły, a wilk który ją gonił nawet nie spostrzegł, że drugi poległ na miejscu. Konie chrapnęły, i ogier który w naszych saniach chodził, zarżał po kilka razy krótko na trwogę i zadarł łeb zuchwale; klacze skupiły się w koło niego, a Rema, obleciawszy daleko dokoła, skradała się niby do koni. Za nią o kilka kroków postępował wilk. Obaj Żmujdzini przepęzłi około łodzi po lodzie i dali razem jakby na komendę ognia; wilk się powalił, a Rema powróciła w tej samej chwili do nas w wielkich susach i przypadła karnie do stóp Dony.

Po chwili zagorzało znowu ognisko. Oba wilki zwleczono do łodzi i nie śpiąc czekaliśmy dnia.

Kiedy odniało, obejrzelśmy się po lodach w około. Na wschodzie w wielkiem oddaleniu przeciągało się pasmo siniego ładu, które miejscami ciemniało, borami przerosłe; w jednym punkcie tego pasma podnosił się ostro kopczasty pagórek, widocznie także lasem porosły i poniżej niego na krańcu lodów białe mury jakiegoś miasteczka. Dona dobył lunetę i poznał w niem port Połagi, a w tym pagórku mogiłę książny Biruty, wznoszącą się koło Połagi, tuż nad brzegiem morskim. Żeglarze i rybacy nazywają tę mogiłę *Cukrową głową*, ale nasi Żmujdzini mówili: „To mogiła Biruty“.

Słońce zeszło krwawo jak ognista kula, bez pro-

mieni... Mróz zdawał się powiększać z każdą chwilą; zaprzężono więc konie do sanek, i dziś już, bo mgły nie było, kierowaliśmy naszą drogę nie za busolą, lecz za sinym rąbkiem łądu, nie tracąc go z oka.

Mgła która nocą opadła, opruszyła lekkim szronem lody, i gdyśmy na tropy zabitych wilków trafili, ruszyli obaj Żmujdzini pod trop ku zachodowi i znikli nam po chwili z oczu.

Około południa ujrzeliśmy ich dopiero przejeżdżających nam w poprzek drogę. Dona spytał co by było.

— Strzelanie lodów rozproszyło wilki, rzekli, i jakieśmy po tropach widzieli, dwa tylko przeszły w tę stronę, a gromada cała wróciła do lodowych skał, pod którymi nam dziś nocować wypadnie. Trzeba się spieszyć, bo tym samym tropem puszczają się w nocy od skał do łądu, a na ewiermiłowój może przestrzemi idzie kra.

— No, kiedyście u skał byli, to w ten ślad ruszajcie naprzód.

Od rana dał wiatr straszliwy od skandynawskich Alp. Jest to wiatr panujący w tym czasie i z nim przychodzą wilki do Kurlandii. Z powstania skał lodowych na wysokości morza tworzą się ruchome odłamy, które luźno leżą na lodzie.

Jest to oryginalny i przepyszny widok. Czém większe bryły, tém silniej są pędzone wiatrem, gładka powierzchnia lodów nie daje żadnego oporu, większe bryły dopędzają mniejsze i w bryzgi idzie lód i pryska fontannami odbitych kawałków w powietrze.

Gdyśmy do tej kry dojechali, wydało nam się jak gdyby lody szły pod górę, jak gdyby po pochyłej płaszczyźnie pędziła ta kra... Wypadało się tedy saniom rozpierzchać, wyprzedzać i omijać każdy odłam lodowy, wstrzymywać się na chwilę lub co wyskok przyspieszać biegu, ażeby z powodzi tej kry wyjechać bez szwanku. Gdyby się koń i człowiek nie znał tu z groźnym niebezpieczeństwem, trudno by było wyjść cało z tej przeprawy.

Mrok padać poczynał, gdy nam się rozjaśniło od północy, jak gdyby od światła zorzy północnej: było to „świecenie lodów“, które skalistą ścianą nagle niby stanęły przed nami.

Para dymiała z koni. Przez dzień cały żyliśmy tylko jałowcówką i zinnym mięsem, bo chleb był zmarzły, że go nie można było ukąsić.

Konie były bardzo spędzone i głodne, bo piętnaście do dwudziestu mil robi się taką jazdą po lodzie na dobę. Dona wybrał pomiędzy skałami zamkniętą, która nas zupełnie chroniła od wiatru. Kiedyśmy się w niej rozłożyli przy ognisku taborem, zrobiło nam się tak ciepło, jak gdybyśmy byli pod dachem.

Wszystko, tak potrawy jak napoje, musieliśmy rozgrzewać przy ogniu; szczęściem że cały przyrząd był tego rodzaju, że się wszystko przy ogniu w zamkniętych rądlach i puszkach odgrzać i przyrządzić dało. Najgorsza sprawa była wszakże i tej nocy z topieniem lodu i pojeniem koni. Dwóch ludzi było prawie całą noc tém zajętych, bo konie żarły łakomo, jak zwykle na mrozie, i poły się bardzo checiwie.

Tu pośród tych lodów zrobiliśmy z Doną jeszcze z wieczora wycieczkę na lodowate skały. Jeden z myśliwych świecił przed nami pochodnią. Przepyszny był widok tych krystalicznych skał, zbrilantowanych od szronu i tych dziwacznych cieni, które raz na równe padały lody, to znowu łamały się fantastycznie po wiszarach, urwistych przepaściach i pionowych ścianach.

Dona był w swoim żywiole, unosił się nad dziką pięknnością widoku i odkrywał coraz nowe strony jego.

— Co za szkoda, zawołał w uniesieniu, że Bajron nie znał tych dzikich piękności natury! Byłby on niezawodnie ujął ten obraz w całej potędze i grozie, całą potęgą geniuszu swego, i byłby w tę pustynię rzucił takich dwóch błędnych rycerzy....

Po wieczery kazał Dona wypocząć ludziom, a sam trzymał ze mną straż taboru.

Około północy ozwał się ze szczytu skał lodowatych głos sowy.

— Ha, ha, witam panią! zawołał do niej i zapytał mnie: czy wiesz wpan co to znaczy? Biegun północny przesunął się ku nam: jest to polarna sowa, która tylko w najcieplejsze zimy w południowej Szwecji

cy i Finlandii bywa. Odór palącego się oleju zwał ją tutaj, i trudnooby oznaczyć z jak daleka tu dziś przybywa i po co.

— Jakto? zapytałem.

— A jużciż jak nas wilcy zjedzą, to się coś z tej uczyty i sowie okroi.

Co do nas, myśmy nie widzieli wilków tej nocy, ale obaj Żmujdzini wykradli się cichaczem z obozu i gdy straż na nich dobrze z północy przypadła, odnieśli sanie w rękach, odprowadzili cichaczem dwa konie, wzięli dwa psy i ledwo że tej wyprawy nie przypłacili życiem; pojechali bowiem za tropami owej gromady wilków, która strzelaniem lodów przeszłej nocy rozproszona, z gładkiego lodu nawróciła ku skałom.

Naraz huk gęstych wystrzałów ocucił nas z drzémki: wszyscy porwali się do broni i stanęli na linii skał, w kierunku tym od którego pogwizd sań nas dolatywał. Słychać było iż konie całą siłą sadzą. Dona nie kazał więc gasić ognia, żeby strzelcy uchodzący ku nam widzieli gdzie tabór, a psy z Remą puściły się bez rozkazu przeciw lecącym na nas saniom. Dwa wystrzały ozwały się już zbliżka, lecz gdy myśliwi nas minęli, bo koni nie można było tak wstrzymać odrazu, leciały już tylko same psy z Remą, ale wilków nie było.

— Gdzież was to lichy nosi? gdzie psy? gdzie strzelby? gdzie wilki?

— Zabite leżą na lodzie, rzekł Żmujdzin stropiony niby trochę zrazu, — strzelby się jutro odszukają, a reszta wilków znać poszła na Żmujdz albo do Łotyszów.

— A psy gdzie? zapytał Dona.

— Jakto? zapytał Żmujdzin, albo ich niema? Kiedy niema, to ich wilki zjadły.

Rankiem obejrzeliliśmy się ze szczytu skał, z których kilka do czterdziestu stóp wysokości miało, po całej okolicy dokładnie.

Jak daleko oko sięgło, jeżyła się ku północy cała powierzchnia stertami kry zastygłej. Ku wschodowi przeciągał się sinym rąbkiem łądu i dopatrzyliśmy przez lunetę, żeśmy się znajdowali na wysokości libawskiego portu. Biała, szeroka wstęga przegradzała w znacznym oddaleniu długą smugą zielonkowate lody; był to pierwszy całun śniegu, jaki w podroży naszej ujrzeć nam przyszło. Wjechawszy na śniegi, a jadąc zawsze w kierunku ku Libawie, trafiliśmy co chwila na wilcze tropy. Widać że po tej smudze śniegu, która się może aż ku brzegom Finlandii przeciągnęła, przyszły świeżo gromady wilków. Żmujdzini tedy nasi twierdzili, że polowanie na lodach na ten rok skończone.

Dodać tu tylko jeszcze muszę, w jakim stanie zastaliśmy rankiem pobojuwisko wczorajszej nocnej wyprawy. O kilkaset sążni od taboru leżał pierwszy wilk ubity, a na szlaku leżały cztery inne i dwa tylko lby psie z obrożami; na szlaku leżały także porzucane strzelby, bo który z myśliwych wypalił, nie miał już czasu brać strzelby do sań, ale rzucał ją na wilki, a brał inną. Konie trzymały się w saniach tak przy sobie, jak gdyby były przy jednym dyszlu upięte, by nie puścić wilka między sanie. Nikt nie powoził, same sadziły, równo i co wyskok, lecąc wprost na tabor. Cichaczem przyznali się potem Żmujdzini, że psy wyrzucili z sani, aby wilków trochę zabawić i że ich to ocaliło. Jednego z wilków, co się na sanie bardzo sadził, ubito od pchnięcia bagnetem.

Gdyśmy na śnieg wjechali, szły znowu ciężko sanie i zwolna tylko zbliżaliśmy się do libawskiego portu.

Na wypadek przewidziany miał Dona pruską flagę z sobą. Jakoż po chwili przyjechał oficer od portu i zaprosił nas w gościnę.

Kilkuset chłopów stało z pałkami nad brzegiem portu, bo zarządcono oblęgę, z powodu najazdu wilków, które wielkie poczyniły szkody nocy poprzedniej w całej okolicy i nawet gromadą do samego miasta wpadły.

Tryumfalnie wjechaliśmy do portu, bo za każdymi sańmi był jeden wilk utroczony. Rema wzbudziła najprzód trwogę, potem podziwienie wszystkich, a obiad smakował dobrze, bo był ciepły i w pokoju dany.

Z powrotem trzymaliśmy się blisko brzegów drogi, po której często różne pomykały sanie i saneczki, a gdyśmy do Klajpedy wrócili, było to piątego dnia wieczorem i wszystkie psy całego miasta począły ujadać, czując wilków wtroczonych u sani.

Można było wprawdzie zabrać same skóry tylko, ale pod murańcem komtura stała szubienica na wilki, a Dona przywiązywał niemało myśliwskiej sławy do tego, aby ją na zimę obwiesić nanowo.

Koniec części pierwszej.

Ludwik Panczykowski.

Panczykowski wystąpił po pierwszy raz na scenie teatru warszawskiego dnia 11 lutego 1827 r., w komedii z niemieckiego tłumaczonej „Nasze przebiegi.“ Nie licząc więc poprzednich jego wystąpień, jako ucznia szkoły dramatycznej i amatora, w towarzystwie artystów dramatycznych pod dyrekcją Martorella w Starym Sączu w Galicyi, artysta ten ukończył już w roku bieżącym czterdzieści lat zawodu dramatycznego, a widziemy go ciągle świeżym, ciągle gotowym do pracy, w pełni talentu i scenicznego powodzenia. Czterdzieści lat, to prawie całe życie człowieka, to przemiana kilku pokoleń po sobie idących, to przeciąg czasu przez który wiele dawnych sław zagasło, wiele nowych powstało zasług. A Panczykowski, któremu dziadowie i ojcowie nasi przyklaskiwali, jest jeszcze ulubieńcem nowego pokolenia, i doprawdy trudno się oswoić z myślą, jakim sposobem brak tego znakomitego aktora na scenie teatru Rozmaitości mógłby być zastąpiony.

I nie mówimy tu już o ważności i mnogości samych ról popisowych, bo Panczykowski bardzo mało takich liczy w swoim repertoarze. Nie uwzględniamy również sztuk wyższej wartości artystycznej które mu winny swoje powodzenie; bo oprócz dwóch albo trzech komedij Fredry i kilku innych, łatwo na palcach prawie zliczyć się dających, Panczykowski występował po większej części w sztukach drugorzędnych, w rolach które przez innego odegrane artystę, niczyjéjby może nie zwróciły uwagi. Nie raz się zdarzało, że jak Karol V tylko skutkiem odrzucenia godności cesarskiej przez elektora Fryderyka Mądrego został cesarzem Niemiec, tak i Panczykowski grał rolę, bo inni artyści, przysądżający sobie prawo do przebiierania, uważali ją za zbyt błahą, albo mało wydatną. Ale pod jego umiejętnym tchnieniem ożywała się ta mało znacząca postać, pokątna rolka wychodziła niespodzianie na światło dzienne, i niejedna z takich wypadkiem uprzywilejowanych sztuk, winna była długotrwałe swoje powodzenie udziałowi Panczykowskiego, chociaż ten ostatni pomocniczą tylko na pozór przybięrał w niej postać.

Rzeczywiście, zdawałoby się że sam zakres talentu Panczykowskiego rozległym nie jest. Role swojskie, charakterystyczne, oto właściwe pole jego działań, oto główne tryumfów jego źródło. Ale w tym właśnie rodzaju utworzył on typy dotychczas przez nikogo nie doścignięte i wątpimy czy pojawi się inny artysta, któryby potrafił zrównać Panczykowskiemu w tych drobnych arcydziełach, jakimi on przyozdobił repertuar sceny naszej. Nie dla talentu, bo talent pojawić się może w każdym czasie i niema dlań zakreślonego terminu ani oznaczonego monopolu; nie dla pracy i sumiennosci, chociaż praca i sumiennosc, we właściwym znaczeniu tych wyrazów, rzadsze bywają od talentu; ale wprost dla kolejnego znikania tych oryginalnych i barwistych typów przez niego przedstawianych, które trzeba było tak jak on pochwycić na uczynku i wystudować okiem badacza, okiem artysty rozmiłowanego w tych swojskich, codziennych obrazach, nieznacznie i bez śladu przesuujących się przed obojętnym wzrokiem.

Taki Dyndalski w Zemście, Krupkowski w Przyjaciółach, albo Trzaska w Chatce w lesie, są to postacie z którymi trudno się już spotkać oko w oko dzisiejszemu naszemu pokoleniu. Nieobce one nam, bo znamy je jeszcze z tradycyi, bo jeszcze z rzadkich wspomnień rozpoznajemy doskonałą ich typowość, tak wybornie wystudowaną przez artystę. Nieobce one nam, bo jakkolwiek odmienne w pojęciu, wyrobieniu i oddaniu, związane są z sobą jedną nicią, należą jakby do jednej wielkiej rodziny, którą za swoją uznajemy i zawsze braterskim sercem gotowimy przyjąć. Lecz wieleż to rzeczy odczuć się daje, a jednak uplastycznic ich niepodobna. Na to trzeba znać, dotykać się, widzieć, a głównie umieć zbadać i odtworzyć, co już jest rze-

czą prawdziwego talentu, jeżeli mu szczęśliwe okoliczności nadarzą do tego sposobność, albo jeżeli jęj sam wyszukać zechce. Samo nawet natchnienie nie zastąpi wiedzy, która w takich razach jest konieczną. A Panczykowski dlatego właśnie niezrównany jest w rolach małych mieszczan i drobnej szlachty, chłopów i Żydów starego autoramentu, że własnymi oczami wypatrywał wszystkie te postacie, żył się z niemi, poznał je we wszystkich fazach ich życia, tak jednostajnego na pozór, a tak barwistego i typowego w rzeczy.

To też w sztukach w których on występował zmieniali się artyści jedni po drugich; czasami role szwankowały na tém, potem znów zyskiwały; ale postacie odgrywane przez niego pozostały nietykalmi, bo każdy czuł to dobrze, że odbierając je Panczykowskiemu, odbiera się zarazem i życie sztuce. A przytém szczęśliwa to organizacya, a nade wszystko artysta sumiennie pojmujący swoje powołanie; nie daje on przystępu do siebie ani zniechęceniu, ani wahanu się, ani fantazjom żadnym, do których mniej zaszłuzeni i mniej utalentowani od niego sądzą się mieć prawo.

Przez te czterdzieści z górą lat pobytu na scenie, Panczykowski nie zrobił nigdy prawie zawodu, nie odrzucił żadnej roli, żadnej nie zmierzył sobie. Zawsze gotów, zawsze chętny, zawsze ufny w powodzenie, wiedząc że zasłużył na nie, nie zrażał się przypadkową obojętnością, ani też nie polował na oklaski, gdy te ze szkoda sztuki dały się wyzyskiwać. „Posiadając kilku artystów jak Panczykowski, mówił do nas pewien dyrektor teatru, można się na wszystko porywać i wszystkiego być pewnym. Afisz się nie zmienia, sztuka zawsze grana będzie w terminie oznaczonym, i można być przekonanym że żaden wypadek nieprzewidywany nie stanie na drodze przedstawieniom i nie oziębi zapału publiczności”.

Toż samo w innych słowach powtarzał nam ś. p. Józef Korzeniowski, który przecież znał się na scenie i artystach.

— „Gdybym, mawiał ten ostatni, w sztukach jakie dają do przedstawiania, mógł wszystkie role obsadzać takimi jak Panczykowski artystami, wtedy nie



PANCZYKOWSKI, w roli Trzaski w „Chatce w lesie.“ (Rysował J. Kossak).

wiadający miejscowym potrzebom; statki bowiem tutejsze są małe i nie głęboko zanurzające się, bo po większej części wszystkie statki i tratwy idące do Kowna lub Prus tą drogą, pozostają tam jako materyał opałow. Jedne tylko berlinki i bajdaki stanowią wyjątek.

Dniało już, gdyśmy wyjechawszy z rozkosznych zarośli, ujrzeli rozległą wieś. Był to Łahiszyn, mający pretensyą do miasteczka, któremu jednak, prócz kilku nędznych kramów, tyłuż karczem i prawdziwie żydowskich brudów, nie nie dawało prawa do tego tytułu.

Po dobrym popasie, ruszyliśmy w drogę. Od Łahiszyna do Pińska ziemia jak pod strychulec podciągnięta: nigdzie najmniejszej wyniosłości, równina i równina. Jednostajność widoku gdziekolwiek tylko przerywa kępa mniej więcej obszerna drzew liściastych. Zato błota tu nie brakuje.

Ponieważ była niedziela, spotykaliśmy po drodze mnóstwo włościan w świątecznych ubiorach, pieszko, konno i na wozach. A miny ich także jakoś świąteczne; nietrudno tu spotkać się z dziewczętami o twarzyczce wcale ładnej i przyjemnej.

Kobiety zamężne i tu, jak w ogólności wszędzie w tej klasie ludu, nader prędko starzeją się i rzekłbyś, patrząc na nie, że wraz z przywdzianiem namiotki, wzięły rozbrat z wdziękami rozkwitającymi na dziewczęcym ich obliczu. Mężczyźni zato wyglądają czerstwo i zdrowo i wielu pomiędzy nimi prawdziwie jest przystojnych. Niebrak im nawet poetyczności, a dzięki pracy pana Romualda Zienkiewicza, poznaliśmy przesliczne ich pieśni, świadczące nader pochlebnie o fantazyi tutejszego ludu. Wszelako, może skutkiem klimatu i życia odosobnionego, włościanin tutejszy pod względem inteligencji jest nader ograniczony i jak to mówią, nic nie widzi po za końcem swego nosa. Słusznie też powiedział Kraszewski, że u niego Pińsk, tak jak u Chińczyka Pekin, uważa się za środek świata. Wyjątek stanowią tylko flisaki, zwani tu Czumakami, którzy całe życie na wędrowce spędzają. Znają oni wszystkie nadbrzeżne miasta portowe (ma się rozumieć rzeczne), począwszy od Pińska aż do Kijo-

(Ob. dōdatek).

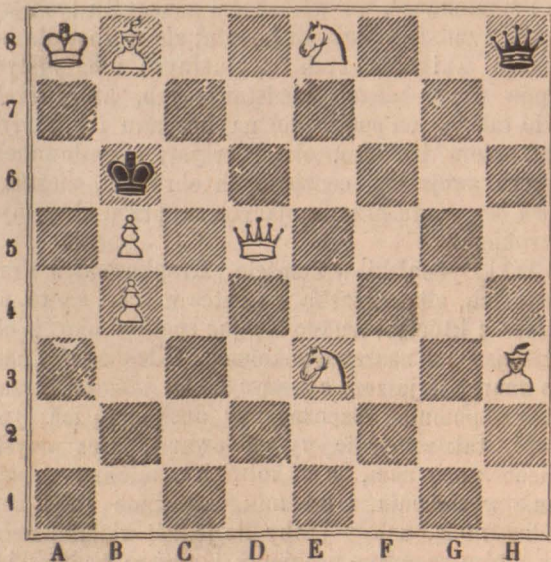
Szachy.

ZADANIE CCCXLIX.

(Methal w Warszawie).

Białe zaczynają i zmuszają czarne do dania sobie (białym) mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 392.

Wystawa paryzka ściągnie do Paryża wiele ludzi ze świata całego.

troszcząc się o przygotowania, o próby, o wszelkie przedwstępne a tak utrudzające kroki, spałbym na oba uszy, przekonany że dzieło moje zawsze możliwe osiągnie powodzenie, że wszystko co tylko z niego da się wyciągnąć dobrego, pięknego i użytecznego, uwidoczni się w każdym razie dla publiczności.“

Na najwyższą pochwałę Panczykowskiego powiemy jeszcze, że wszyscy jego koledzy toż samo o nim powtarzają, że drobne zawiście współzawodnictwa i owe tysiączne błahostki, różniące między sobą artystów, cichną w obec niego; a to już nie na karb samego tylko talentu liczyć trzeba, ale i na zaletę człowieka.

Wacław Szymanowski.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY,

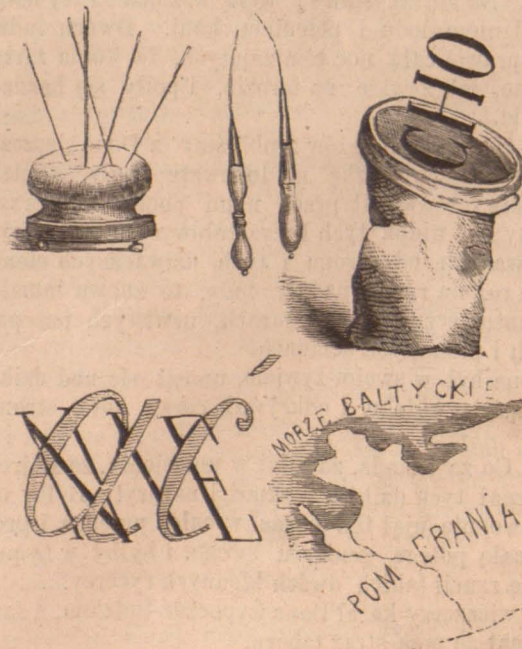
przez

Mscisława Kamińskiego.

(Dokończenie)

Blżej Pińska, częściej już przychodzi o przemysł się ociierać, a tém przyjemniejszego doznaje się uczucia, że zaszczepiła go dłoń dwóch wiekopomych mężów: Ogińskiego i Butrymowicza. Oddaliśmy już cześć pierwszemu, opisując dzieła jego w Słonimie dokonane; ale i tu znowu napotykamy ślady niestrudzonej jego działalności. Mówię o kanale, przez który właśnie przejeżdżamy. Jest on wązki, lecz doskonale odpo-

Rebus.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 348.

Białe.

Czarne.

- 1) C4—D3 biorą ++ . . . 1) E4—F3.
- 2) Król roszyje + . . . 2) F3—G3 biorą.
- 3) D2—E1+ i mat.

(Dodatek).

wa i Krzemieńczuga z jedną, a do Klajpedy z drugiej strony. Naturalnie że ta wędrówka niewiele się przyczynia do rozjaśnienia ich umysłu, ale wyrabia w nich pewien oddzielny, zupełnie samoistny charakter.

Flis żyć nie może bez swjej ulubionej tratwy lub wiciny. Wprawdzie czekają go tam niewygody i nudy, znajduje na nich przykaszczyka (komisanta), który nim pomiata, oddala się z domu na całe nie-różne lato, ale cóż, flisostwo stało się drugą jego naturą. On je przez całą swją podróż przeklina, lecz jak przyjdzie zima, tęskni doń, a na wiosnę ani ćwierkiem go nie przybić. Rzuca ciepły kąt, smaczoną kaszę jaglaną, rzuca żonę i dziatwę płaczącą i nasunawszy barankową czapkę na uszy, idzie z przebiegłym Żydkiem, który już dawno go zamówił, na *mohorycz* do karczmy. A potem zaraz do dzieła! Towar zapakowano, żagle rozpuszczono, kotwicę podjęto i dalej w świat. Dobrze jeszcze gdy wiatr sprzyja żegludze, bo w przeciwnym razie nierzadko dwie wiorsty trzeba płynąć dzień cały, a gdy rzeka rozdziwaczy się i poczną kołować, kręcić się, zawracać, to czasem dla próby wbije flisak kij z wiechą na ostatniem swém obozowisku i ruszy dalej, a po kilku dniach, ni ztąd ni z owąd, ujrzy tenże sam znak o parę staj od siebie. A cóż dopiero gdy wiatr przeciwny obezwładni wszelkie siły i starania, gdy przez kilka dni całą kolej(*) tratwę zatrzyma w jednem miejscu? Łatwo wyobrazić sobie, jakie to nudy dla biednego flisaka. Naturalnie że jedyną ucieczką jest natenczas nieszcześliwa wódka, a ztąd rzadko znaleźć flisa poleskiego, któryby się pod koniec nie rozpił.

* * *

O kilka wiorst przed Pińskiem wznosi się śród drogi wielki murowany słup, niewiadomego przeznaczenia, z wgłębieniami po bokach, w których zapewne były niegdyś tablice, ale dziś nic nie pozostało. Na moje zapytanie coby on oznaczał, odpowiedział zagadnięty właściciel.

— Stary ludy mówią, szczo heto dawniej myły (mile) takija bywały.

I więcej nie się o tem dowiedzieć nie mogłem.

Już wieżycy cerkwi pojezuickiej dawno widniały, a nawet i inne świątynie pińskie można było rozpoznać, gdy zwróciła naszą uwagę stojąca na drodze rogatka, a przy niej ogromne stosy zmiętej słomy i siana, których część powolnym się ogniem na boku paliła. Z tamtej strony rogatki stało kilka właścicielskich wozów, a rzeżki parobek, w kapeluszu słomianym na głowie, bez ceremonii wybięrał z nich siano i słomę i rzucał na bok.

— Co to jest? spytałem zdziwiony.

— To kwarantanna na bydło.

— Jakto, alboż w Pińsku zaraza?

— I jaka jeszcze! Po czterdzięci krów dziennie pada, i dlatego odbieramy wszelkie siano i słomę od wyjeżdżających z miasta, aby się zaraza i po wsiach nie rozszerzyła.

Otóż i Pińsk. Trzeci to już raz do tego miasta wjeżdżam, lecz nie spostrzegam aby się ono w czemkolwiek odmieniło na lepsze. Też same domki drewniane, toż samo błoto. W każdym jednak razie i z tych małych oznak ruchu można było poznać, że się wjeżdża do jednego z najhandlowniejszych miast w tych stronach. Wszędy pośpiech, na wszystkich twarzach izraelskich czytasz jakieś kombinacje rachunkowe. Tu suną się *mazie* czumackie, tam toczy się bryka ładowna, owdzie tragarz ugina się pod ciężarem jakiegoś towaru. Przejeżdżasz przez miasto: żaden markier nie wyskoczy zapraszać cię do zajezdnego domu, i on nie ma czasu, i on w drobnej cząstce jest współnikiem handlu, i on wspólnie z kupcami oblicza korzyści lub straty jakie poniósł, ponosi lub ponieść może.

A z obu stron ulic, gdzie spojrzysz, domy drewniane, podobniusiennie do siebie; czasem tylko wyskoczy murowana kamieniczka, ale to rzadko, bardzo rzadko. Koła powozów, grzęzną w błocie aż po piasty, nigdzie nie spotykając się z brukiem, lub przynajmniej z jakąkolwiek twardą drogą. A jednak Pińsk, według ostatnich statystycznych obliczeń, ma

12,000 mieszkańców; nie jest to już miasteczko, ale miasto. I czémże wytłumaczyć to zaniedbanie?

Oto brakiem kamieni. W Pińsku wszystkiego dostanie, prócz prostego brukowca, który nie dalej jak o dziesięć mil ztąd zalega pola i łąki i istną jest plagą dla biednego rolnika, nie mogącego dać sobie z nim rady. Wprawdzie po pińskich drogach sprowadzać go trudno, a na prywatne siły liczyć w tem prawie niepodobna. Ale zdaje mi się że byłby na to inny środek: oto niechby każdy statek przybywający do Pińska obowiązany był po kilka kamieni ze sobą przywozić, a tym sposobem, po upływie lat kilku, jeżeli nie całe miasto, to znaczniejsze jego ulice zostałyby zabrukowane.

Cały tydzień mając bawić w Pińsku, część czasu przeznaczyłem na swoje interesa, część zaś na zbadanie tak samego miasta, jak i jego życia społecznego. Zaczęę tedy od miasta.

Fizyognomia jego ogólna nie robi żadnego prawie wrażenia. Znać tu handel, przemysł, ale nie odznacza się ono ani pod względem pięknych miejscowości, ani domów wykwintnych, ani zresztą sympatycznych pamiątek. Ulice szerokie wprawdzie, ale niebrukowane, domy obszerne, ale drewniane, kramy bogate, ale bezładne; słowem wszystko wyraźnie zdaje się wykazywać, że miasto to skłeciła gromada kupców, aby mieć jakikolwiek przytułek dla siebie i skład dla swoich towarów. Nie przeczę że przeszłość historyczna tego punktu jest niezmiernie stara, a nawet ciekawa.* W ogóle miasto ma pozór zupełnie nowy, wczorajszy, skutkiem zapewne licznych pożarów które je nawiedziły. Składa się ono z dwóch części: z właściwego Pińska i Karolina, połączonych pomiędzy sobą kilku ulicami, po bokach których wszędy znajdują się drewniane chodniki, pozwalające w porze błotnistej jakiegokolwiek komunikacji, bo bez nich mieszkańcy Pińska, nadewszystko wiosną i jesienią, ani nosa wytknąćby nie mogli. Pińsk i Karolin, to dwa światy zupełnie różne. Mieszkaniec Pińska z dumą pogląda na ludność Karolina, a Karolińczyk dowodzi, że Pińczuki są ni do tańca, ni do różańca.

Bądź co bądź, obojętnemu postrzegaczowi zdaje się, że obie te dzielnice miasta w nader blizkiem zostają pokrewieństwie. Tu i tam śmiecie i błoto, chociaż wyznać należy, że Karolin podniósł te dwa składowe pierwiastki do *maximum*, a Pińsk miéwa czasem pretensją do porządku i czystości.

Okolice Pińska są monotonne i ubogie w krajobrazy; miejsc przechadzkowych i ogrodów publicznych wcale tu niéma; jedyną tedy ucieczką mieszkańców jest tak zwany *biczownik*, ulica nadbrzeżna, bardzo starannie utrzymywana. Widok z niej prawdziwie oryginalny. Na najdalszém tle obrazu rozwija się niezmiernie równina, usiana mnóstwem jezior, błot i strumieni, bliżej zaś wznosi się las masztów, różnobarwnymi zakończonych chorągiewkami. Jakich tu statków niéma! Tu poważna, zalotnie przystrojona berlinka, z dumą pogląda na niezgrabny i ciężki *bajdak*, co jak ojciec dziećmi, otoczony zwinnym gronem *obijaników* i *barok*. A pomiędzy tem wszystkiem uwijają się wążki i lekkie *plawiczki*, na które aż straszno poglądać, tak zdają się być kruche i wywrotne.

Śmiało jednak niemi kieruje nietylko flisak, który, że tak powiem, zrosł się już z tym żywiołem i wody wcale się nie obawia, ale nawet i tak zazwyczaj lekliwy syn Izraela. A na wszystkich większych statkach ruch i życie: tu pakują, tam znowu wypakowują przeróżne surowe towary; owdzie zabięrają się rzeżki flisy do śniadania; ci odjeżdżają, tamci przyjeżdżają; jedni ważą potężne beczki lub wory, drudzy mierzą zboże przeróżnego gatunku, inni windują z głębokich *bajdaków* cięższe towary, a wszyscy spieszą, mówią, krzyczą, biegają, pracują lub do pracy zachęcają. A nad każdą gromadką pracujących stoi poważny i zadumany Izraelita, niby Jowisz z góry na wszystkich poglądający: to pan kupiec. Flisy-powożniki, Żydzi-tragarze, komisanci, meklerowie, faktorzy, — wszystko to skacze usłużnie koło niego i rzekłbyś gotowe na pierwsze jego skinienie rzucić się w ogień i wodę. I nie dziwnego, bo on obraca milionami, on pan całą gębą, on piastuje największe bożyszcze dziesiętnastego wieku, pieniądź.

(*) Znajdzie o tem czytelnik wiadomość w Tygodniku Ilustrowanym z r. 1863, w artykule p. Bądzkiewicza p. n. „Pińsk i Pińszczyzna.“

Lecz cóż to się czerni w oddali? Nad długim, okopconym kadłubem wznosi się czarny komin, ziejący potężne obłoki dymu. To parostatek! Pomiedzy Pińskiem, Kijowem i Krzemieńczugiem kursuje ich kilka, ciągnąc za sobą długi ogon *bajdaków* i *barok*, któreby o własnych siłach długiego czasu na przebycie tej przestrzeni potrzebowały. Nic jednak bardziej zajmującego i oryginalnego, nad targ odbywający się we czwartki i niedziele w miejscowej przystani. Mnóstwo czółen ze wszech stron przybywa z sianem, drwami, rybą, rakami, ogrodowizną, owocami i t. d., a pośród nich uwijają się przekupnie (naturalnie Żydzi) na lekkich *plawiczkach*, wyrывая kupującym z rąk prawie stargowany towar. Nim biedny chrześcijanin dobrnie przez błoto do czółna, aliści przedsiębiorczy Żydek wskoczył już w wodę, obległ zagapionego właściciela, otumaniał go swoją przekonywającą wymową, wpakował mu pieniądze w rękę i porwawszy towar, idzie dalej próbować szczęścia. Czasem zejdzie się tym sposobem dwóch Żydów i stargowawszy jeden towar, obaj zechcą go posiadać. Naówczas od słów przychodzi do razów i przeciwnicy, zanurzeni po kolana w wodzie, dają widowisko szczerzejszej walki, która najczęściej, ku wielkiej radości widzów, kończy się zimną kąpielą któregośkolwiek zapasnika.

Co do społeczeństwa tutejszego, jak to zawsze bywa w małych miasteczkach, każdy zna wszystkich i przez wszystkich jest znany. Jedynym przedmiotem rozmowy bywa nieobecny sąsiad, a jedyną rozrywką rozmowa lub karty. Wielu bawi się w romanse, strojąc się na potęgę; rzekłbyś że całe szczęście na strojach tylko pokłada. Spotkasz tu takich, co lubo mają dochodu zaledwo sto pięćdziesiąt rubli, przecież z wykwintnego ubioru wzięłbyś ich za dziedziców stu chat lub więcej. Naturalnie że płęć piękna nie daje się pod tym względem wyprzedzić mężczyznom, a nawet o wiele ich przewyższa.

Lecz jeżeli pod nazwą zbytku rozumiemy takie tylko wydatki, które przewyższają nasze dochody, to niekoniecznie stroje tutejszych mieszkańców nazwiemy zbytkowemi. Życie bowiem tak jest tanie, że mając 300 rubli rocznego dochodu, żyć można daleko wygodniej, jak w Wilnie za 500 lub 600. Wprawdzie w roku bieżącym ceny na wszystkie produkty znacznie się i tu podwyższyły, ale jestto naturalny skutek zarazy bydła i powszechnego nieurodzaju.

Karolin, żydowska dzielnica Pińska, to błogosławiona ziemia Izraelitów, a lubo niéma w nim rzek mlékem i miodem płynących, to natomiast szerokiemi korytem płynie tu złoto w postaci weksłów i bankocetli, przechodząc z rąk do rąk bogatszych zwłaszcza kupców. Takiego matadora poznasz zdaleka i z miny i z czupryny, jak to mówią, chociaż za ostatnia przybięra czasem zakrój europejski. Żydzi w ogólności inaczej niż my zapatrują się na swoich bogaczy. U nas zazwyczaj za *oczy* bogacz bywa krytykowany, sądzony i prawie zawsze potępiany, podczas gdy *w oczy* schylamy przed nim czoła, nie szczerząc kadzieli i pochlebstw, najniekorzystniej pono świadczących o źródle z jakiego wypływają. Żydzi zaś przeciwnie, woczy i za oczy czczą ulubieńców fortuny; bogaty u nich, to to samo co mądry.

Niezamożna ludność izraelska żyje po większej części z grosza bogatszych swych współbraci, którzy dzierżąc w swych rękach cały tutejszy przemysł, używając ich jako komisantów, faktorów, tragarzy, rzemieślników, wyrobników i t. d. do rozmaitego rodzaju zatrudnień; właścicieli zaś wynajmują się li tylko do tego rodzaju prac, do których Żydzi ani powołania, ani zdolności nie mają. Pięrsze tu miejsce trzyma flisactwo; dla Żyda bowiem jestto praca zbyt uciążliwa, a przytém najbiedniejszy z nich nie najałby się tak tanio jak właściciel, ba, i nie zgodziłby się po sprzedaniu towaru na odbyte pieszo tak ogromnej podróży.

Jak przeważnie ludność tutejsza składa się z Żydów, nie trzeba pytać statystyki, dość spojrzeć na miasto w szabas. Rzekłbyś że wszyscy jego mieszkańcy wymarli. Próżnobyś w sobotę chciał cokolwiek kupić lub dostać, bo jeżeliś stanął w domu zajezdnym, to będziesz zmuszony, odłożywszy na bok wszelkie uprzedzenia, sam sobie samowar nastawić, chyba że zechcesz wstąpić do jedynej tutaj cukierni a zarazem restauracji, utrzymywanej przez odważnego Holendra. Mówię *odważnego*, bo rzadko chrze-

(*) Kolejka nazywa się długi szereg tratwę jedną drogę odbywających.

ścianin ośmiela się spóźzawodniczyć z pińskimi Żydami.... Kramy, handle, restauracje, piekarnie, jatki, poczta konna nawet, wszystko to w rękach żydowskich.

Żydzi jednak tutejsi nie są bez zalet: oto przekupnie i kramarze pińscy nie mają nagannego zwyczaju zapraszania i wciągania przechodniów gwałtem niemal do kramów i sklepów. Lecz jeszcze godniejszym pochwałą i naśladowania jest ten fakt, że pomiędzy ludnością tutejszą wyznania mojżeszowego prawie niema żebractwa.

Na tém kończymy nateraz wrażenia swoje z podróży, nie opisując powrotu do Wilna, ile że ten nie godnego uwagi nie przedstawiał.

Kronika bibliograficzna.

Treny Jana Kochanowskiego, studyami i przypisaniami objaśnione przez *Felicjana*. Warszawa, 1867, 8ka, str. 128, (kop. 75).

Sumienna ta i poważna praca dzieli się na dwie części; w pierwszej autor zastanawia się nad Janem Kochanowskim jako twórcą Trenów, wykazując znaczenie jego w dziejach sztuki naszej, wpływy zewnętrzne które nań oddziaływały i kierunek jaki sobie ostatecznie obrał wieszcz czarnoleski; dalej rzecz idzie o naśladowcach Kochanowskiego i o Trenach jako dziele sztuki. Druga część obejmuje same Treny, bardzo starannie przypisaniami objaśnione.

Niepodobna nam wchodzić tu w bliższy i szczegółowy rozbiór pracy p. Felicjana, czujemy się wszakże w obowiązku gorącego zalecenia jej czytelnikom; studya bowiem niniejsze cechuje głęboka znajomość traktowanego przedmiotu i wielkie w nim zamiłowanie. Tylko przy takich dwóch warunkach można było wywiązać się tak świetnie z postawionego sobie założenia, jak to uczynił pan Felicjan. W jednym miejscu studyów swych mówi autor, że ogół był dla Trenów obojętnym i że zajęcie się tym utworem wzrastało stopniowo, w miarę jak się przekształcał sam charakter owego ogółu; poeci jednak stale je podziwiali. Owóż choćby jedyną zasługą studyów p. Felicjana było udostępnienie Trenów dla ogółu i wykazanie ich piękności ludziom powszednim, niepoetom, to już i w takim razie praca jego nie byłaby daremną. Ale nadmienić tu koniecznie wypada, że studya nad Trenami stanowią oprócz tego ważną pod względem historyczno-krytycznym monografią i zarazem mogą służyć za wzór, z jakim przejściem się przedmiotem, z jakim namaszczeniem i z jakim zasobem wiadomości należy brać się do krytycznej oceny, zwłaszcza utworów stanowiących, że tak powiemy, żelazny kapitał krajowego piśmiennictwa.

Biblioteczka kolei żelaznych. Co się stało w małym miasteczku. Przez *Edwarda Lubowskiego*. Warszawa, 1867, 16ka, str. 51, (kop. 12 i pół).

Prawdę powiedziawszy, w małym miasteczku nie stało się nic takiego, o czémby warto było szeroko rozpisywać się. To też autor bardzo zwięzłe rzecz poprowadził. Mieczysław Feier przyjechał do Kojca (tak się zwało owo miasteczko) na gubernera do dzieci emeryta, pana Dundasa; w ciągu trzech rozdziałów, obejmujących trzy doby, poróżnił się ze swym chlebodawcą, jak go autor nazywa, i z całą sferą jego znajomych i odjechał. Początek tej powiastki każe wnosić, że autor zamierzał zrazu skreślić coś obszerniejszego, ale widocznie zabrakło mu do tego ochoty i weny już w połowie. Jakkolwiek bądź, opowiadanie to, któremu niebrak dowcipu i trafności spostrzeżeń (zawsze mówimy o początku), da się z łatwością przeczytać, tak naprzykład między Pruszkowem a Rudą Guzowską, zwłaszcza gdy naprzeciw czytelnika w wagonie siedzi jaki Dundas. Szkoda tylko że autor nie powierzył korekty swęj powiastki komuś takiemu, coby wiedział przynajmniej że pisze się pochop, a nie pohop, chaos, a nie haos i t. d.

Miron. Pieśni. Warszawa, 1867, 16ka, str. 81, (kop. 50).

W niewielkiej tej książeczce znajdujemy poetyczne utwory p. Mirona, częścią już poprzednio drukowane w rozmaitych czasopismach, częścią występujące przed publicznością poraz pierwszy. Trudno

z tego niewielkiego zbioru wnioskować jaki stanowczo kierunek weźmie poetyczna fantazja autora; zdaje się jednak że za wzór do naśladowania p. Miron wziął sobie Heinego i Musseta. Na myśl tę naprowadza także epigraf położony przy „Don Juanie“: „Kto sercem kocha, ten i sercem gryzie.“ Zresztą podobieństwo to upatrujemy głównie w zewnętrznej formie Pieśni p. Mirona.

Anioł stróż. Fantazja liryczna *Cypryana Leonowicza*. Warszawa, 1867, 8ka, str. 144, (rsr. 1).

W fantazyi tej na str. 18 czytamy, że Belinda Największa z literatek...

.....w czasach cnej królowej Bony, (!)
Która Polaków przedziergnęła w Włochy,
Zwyklemi pięknym trzpiotałstwem i fochy
Rolę grać umyśliła litewskiej Pomony.

Tu, jak widziemy, sens jest tak fantastyczny, że pewno żadna literatka go nie ułowi. Ale to nie jeszcze! czytamy dalej:

A Pryap (!), jak Hebe młody (!)
Jéjmość panny radca tajny
Oraz poseł nadzwyczajny,
Miał powierzone swęj pieczy ogrody. (!)

Punctum!... A niechże was, czytelniczki, wasz anioł stróż strzeże od takich „lirycznych fantazyj.“

Ludgarda. Tragedya w czterech aktach, przez *Franciszka Lasockiego*. Warszawa, 1867, 8ka, str. 126, (kop. 60).

Czytając w tej tragedyi takie wiersze, jak:

Zacna królowo! niosęc pozdrowienie,
Od króla Waclawa tobie przysłane (str. 1)

bardzo można przypuszczać, że autor nie wie wcale co to jest średniówka w wierszowaniu, a znowu doczytawszy się na str. 65 że

...to oblicze,
Na którym tyle obłudy wpisane,

można wnosić że i gramatyka jest dla niego także rodzajem średniówki; ale przeczytawszy całą tragedya (co, mówiąc nawiasem, wymaga wielkiej cierpliwości) niepodobna nie podziwiać odwagi autora, produkującego podobne utwory.

Rybak z Palermo. Opera w trzech aktach. Słowa *Jana Chęcińskiego*. Warszawa, 1867, str. 75 (kop. 30).

Treść i duszę opery, jak wiadomo, stanowi muzyka, niewchodząca w zakres naszego przeglądu. Libretto Rybaka z Palermo napisane jest znanym gładkim wierszem p. Chęcińskiego.

Teorya poezyi, w związku z jęj historyą, opowiedziana przez *Antoniego Bądzkiewicza*. Warszawa, 1867, 8ka, str. 404, (rs. 1 kop. 50).

Dzieło to szczegółowo rozebrane już było w nrach 384 i 385 pisma naszego.

Przewodnik Ekonomii politycznej (H. Baudrillard). Tłumaczony z francuzkiego przez *Joannę Belejowską*. Warszawa, 1867, 8ka, str. 567, (rsr. 2).

Przewodnik ten, jak czytamy na karcie tytułowej, uwieńczony został przez Akademią francuzką pierwszą nagrodą (*prix Monthyon*). Ocenienie o ile przekład jego przyczynia się do rzeczywistego zubożenia krajowej polityko-ekonomicznej literatury, należy do specjalistów.

Opowiadania historyczne, zebrane dla młodych czytelników przez *Jana Chęcińskiego*. Warszawa, 1867, 12ka, str. 251, (rsr. 1 k. 20).

Dzień grzecznego Władzia, w rymowanych ustępach opowiedziany dziatwie, z dodaniem różnych wierszyków, przez *Jana Chęcińskiego*. Warszawa, 1867, 8ka, str. 109, (rsr. 1 k. 80).

„Opowiadania historyczne“ skreślił autor na wzór książki włoskiej tegoż tytułu. Wydanie obu dziełek (nakładem pp. Gebethnera i Wolffa), zaleca się wykwintnością; papier piękny, druk czysty i czytelny. Dodajmy do tego, że tekst jest pióra p. Chęcińskiego

go, tak przystępnie i serdecznie umiającego przemawiać do dziatwy.

Nauka gromadzka, co ją każdy gospodarz dobrze znać powinien. Lwów, 1867, 8ka, str. 61, (kop. 22½).

Książka ta napisana jest dla włościan galicyjskich, w celu obznajmienia ich z nowymi urządzeniami i prawami w cesarstwie austriackim obowiązującymi, o ile te włościan dotyczą.

Rady i nauki starego lekarza dla nielekarzy, napisał dr. *Matecki*. Poznań, 1867, 8ka, str. 218, (kop. 60).

O hodowaniu najpożyteczniejszych warzyw ogrodowych, podług E. Lucasa. Warszawa, 1867, 8ka, str. 51, (kop. 20).

KORESPONDENCJE TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Paryż, 23 marca 1867.

Spotkanie w mlęczarni. — Edukacyjna dystrakcyja w Paryżu. — Różnica pomiędzy nami a Francuzami. — Przestroga dla rodziców — Lamartine. — Galileusz. — Britanikus. — Kłakier. — Wymagalności nowoczesnych spektatorów.

Obawiam się trochę, ażeby początek niniejszej korespondencji nie wzbudził wstępu u niektórych czytelników. Pociesza mnie tylko to, że wątpliwą jest rzeczą, ażeby ci których wstępu się lękam, należeli do rodzaju ludzi jakich pospolicie czytelnikami nazywają. Bo, ażeby być czytelnikiem, potrzeba czytać. Wszak tak... Owóż ludzie o których pisać zamierzam, wątpię (ba nawet bynajmniej nie wątpię), ażeby się kiedy oddawali takiemu nudnemu zatrudnieniu, jakim jest czytanie, zwłaszcza korespondencyj z Paryża, z tego Paryża, którego pewne tajemnice lepiej są znane im, jak korespondentowi.

Ci ludzie... Lepiej jednakże będzie, jeżeli, zamiast pisać ogólnikami i w określeniach się gubić, dotknę wprost osobistości, bez wymienienia wszakże ich nazwisk i imion na chrzcie im nadanych. Zamiast nazwisk i imion, podam jaknajdokładniejsze rysopisy.

Było ich dwóch. Jeden wyglądał na lat osiemnaście, drugi najwyżej na dwadzieścia jeden. Pierwszy nie doszedł jeszcze tego wieku, w którym mężczyzna przestaje pędzić się w górę. Widać było po nim że jeszcze rośnie, pomimo że był już wzrostu słusznego. Budowa ciała znamionowała siłę. Plecy i piersi szerokie, kości grube, dłoń duża, szczęki i wargi okryte mchem młodości, młodość patrzyła mu z jasno-błękitnych oczów, lecz z tychże oczów patrzył także wyraz chorobliwości, zlewający się w harmonijną całość z bladą, przejrzystą cerą i suchotniczym na policzkach rumieńcem. A ten wyraz, i ta cera, i ten rumieniec bynajmniej nie harmonizowały z postawą, mającą w sobie coś atletycznego; przeciwnie, zachodziła pomiędzy niemi jaknajwiększa dysharmonia, wzbudzająca sympatyczny pociąg ku młodemu człowiekowi. Drugi nie odznaczał się niczém. Miał głowę bardzo pospolitą, mogącą zarówno figurować i jednakowe sprawiać wrażenie na karku tak pańskim, jak lokajskim. Pierwszy był jasny blondyn, drugi ciemny szatyn. Spotkałem się z nimi w miejscu bardzo przyzwoitem, w mlęczarni na rogu ulicy, której nazwy nie wymienię, z obawy ażeby nie osądził mnie kto, iż korzystając z gościnności w szpałtach Tygodnika Ilustrowanego, piszę reklamę na rachunek mlęczarki. Spotkałem się więc z nimi w pewnej mlęczarni o godzinie duchów. Nim jednakże przyszli oni, przyszły dwie panienki. Rzekłbyś rodzone siostry, tyle było pomiędzy niemi podobieństwa. Jedna brunetka i druga brunetka, jednej oczęta błyszczały jak zarzewie i drugiej błyszczały, jednej usteczka czerwieniały niby wiśnie i drugiej czerwieniały, jednej figurka była jakby z rąk tokarza wyszła i drugiej taka sama; tylko tém się różniły, że jedna była drobniutka, druga znacznie słuszniejsza, a ta drobniutka wyglądała na lat dwadzieścia skończonych, słuszniejsza zaś o wiele starszej. Przyszły i usiadły obok mlęczarki, z którą snadź pozostawały w stosunkach zażyłości, a przynajmniej dawniej znajomości. Mlęczarka zapytała ich, jakiego sobie każą mlęka podać, ciepłego czy zimnego.

— To się później pokaże, odpowiedziała drobniutka, jak przyjdzie mój *jeune homme*...

To mówiąc, postawiła na stole parę prunelowych trzewiczków.

— Kupiłam sobie trzewiki...

Przynajmniej się, iż mnie te trzewiczki zafrapowały. Trudno-*bo* wyobrazić sobie coś zgrabniejszego. Pięć parówi mleko i zagryzając brioszką, przypatrywałem się dwom kobietkom i przysłuchiwałem temu, co po francuzku nazywa się *caquetage*, a co po polsku nie posiada odpowiedniego wyrazu.

Wkrótce potem weszli dwaj wyżej opisani młodzi ludzie. Drobniutka pogarnęła się do blondyna, słusniejsza do szatyna. Sformowały się dwie pary i natychmiast przystąpiły do konsumowania mleka i brioszek.

Podobne widowiska są bardzo pospolite w Paryżu. Na te dwie kobiety i tych dwóch młodych ludzi nie byłbym zwrócił uwagi, gdyby mnie był blondyn nie zainteresował. Miał-*bo* w sobie coś... obiecującego. Tęsknota przebijała się przez jego uśmiech, z którym towarzysze swojej w oczy patrzył, a wyniosłe, regularnie zbudowane czoło kazało się domyślać, że pod tym czołem jest grunt przydatny do uprawy. Przypatrywałem mu się z boku z tym zajęciem, z którego sobie sprawy zdać nie można.

Rozmowa toczyła się po francuzku. Kobiętki trzepały, młodzi ludzie odzywali się kiedy niekiedy. Trwało to z dziesięć minut, i już, zapłaciwszy mlęczarce, zebrałem się do odejścia, gdy nagle o słuch mój uderzyły dźwięki mowy ojczystej. Słuszny blondyn rzucił kilka wyrazów szatynowi po polsku.

— „Wszak to nasi, nie Francuzi...” powiedziałem sobie w duchu.

Odkrycie to zatrzymało mnie jeszcze na chwilę. Powstała we mnie ciekawość. Zachciało mi się dowiedzieć co to za jedni.

Tego wieczoru nie byłem w stanie zaspokoić ciekawości. Przypadek zrządził, że w kilka dni później do wiadomości mojej doszły imiona, nazwiska i cel pobytu w Paryżu obydwoh młodych ludzi. Imiona ich i nazwiska przemilczam; co zaś do celu pobytu, tym jest: nauka. Rodzice ich nie są zamożni. Ściągnęli się z ostatniego funduszu i wyprawili synów do stolicy Francji i łożą na nich, w nadziei że wyrobią się na ludzi użytecznych i sobie i społeczeństwu.

Nie powiem jaką gałęź nauki wybrali sobie młodzi ludzie: byłoby to ukazaniem na nich palcem. Podam tylko do publicznej wiadomości, że zawiadą oczekiwania rodziców. Prowadzeniu się ich niema wiele do zarzucenia. Nie hulają w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, to jest nie trwonią pieniędzy na zbytki, nie zaciągają długów, ale też i nie uczą się. Naukę zastępują dla nich czarne oczęta. Na wykłady nie chodzą, w domu nie pracują, bo też i pracować nie mogą, mając przed oczami nieustanną dystrakcją, która im się wydaje ważniejszą nad wszelkie filozofie, filologie, technologie, prawa, matematyki i medycyny. Z towarzyszkami dzielą się skrupulatnie groszem przez rodziców przysyłanym i są im wierni aż do zazdrości, o którą z przekąsem pomawiają ich francuzcy koledzy.

— Tak więc ten grunt pod czaszką, który mi się wydał tak przydatnym do uprawy, zmarnieje... powiedziałem sobie myśląc o blondynie, wyda chwast, zamiast użytecznych owoców. Sprawdzą się na nim przysłowie, że „i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu.“ Poczciwi rodzice rzucają pieniądze w błoto. Młodzi ludzie powrócą, poprzedzeni sławą, że pobierali edukacją w Paryżu, i przyniosą zamiast wiadomości, wyobrażenia odmienne od naszych i wcale u nas niepotrzebne. A do szczepienia takich wyobrażeń przyczyniają się ludzie tacy właśnie, jak ci dwaj młodzi, o których każdy wyraża się: „porządni i przywoici.“ Zarzucić im można mały tylko grzések, a ten grzések to rozkładowy kwas w rodzinie, która u nas ma znaczenie ważniejsze aniżeli we Francji.

Zresztą, pomimo iż nas nazywają *północnymi Francuzami*, pomiędzy Francuzami a nami wielka zachodzi różnica. Różnicę tę najlepiej widać na studentach. Francuzom nie sprawiają dystrakcji żadne czarne ni modre oczęta. Gonią oni za niemi, jak za chwilową rozrywką, nie zatrzymując na nich długo uwagi. Jest to dla nich zabawka, nie mająca

w sobie nic poważnego. Na seryo biorą naukę, w celach bądź chlebowych, bądź innych, mniejsza o to, lecz nauka jest dla nich, zwłaszcza dla „porządnych i przywoitych,” powagą jedyną i największą, w obec której przyjemności życia maleją do ledwo dostrzegalnych rozmiarów. A pomiędzy temi przyjemnostkami, w znaczeniu dodatkowym, zajmuje miejsce i kobięta, której znaczenie u nas jest pierwszorzędnym. Francuz kobięta się bawi, póki młody, a gdy podstarzeje, zawiązuje z nią matrymonialną spółkę. My zaś w młodości w kobięcie się kochamy, a w późniejszych latach czcimy w niej matkę pokoleń i opiekuńczy geniusz rodziny. Ta część jest w nas wrodzoną, i dlatego, nawet w Paryżu, naśladowując Francuzów, nie umiemy jak oni obronić się dystrakcji, którą sprawia zawieszona na naszym ramieniu czarnobrewka. Oni, obok czarnobrewki, pod promieniami palącego jej oka, są w stanie pracować, my... nie.

Zwracam na tę okoliczność uwagę rodziców, wyprawiających synów do Paryża. Jeżeli chcą ażeby korzystali z nauk, niechże im nie dają na drogę morałów. To na nic, niech raczej wystudują najprzód ich temperament, a jeżeli ten okaże się ogniotrwałym, niech posyłają, inaczéj... nie. Możeby dobrze było poczekać na wykipienie namiętności. W każdym razie posyłanie do Paryża ludzi zbyt młodych jest niebezpiecznym edukacyjnym środkiem. Czy aby jedna ze znakomitości naszych wychowywała się w Paryżu? Każda prawie otarła się o stolicę Francji; niejedna kończyła w niej nauki, lecz ani jedna nie została znakomitością dlatego, że tam nie gdzieindziej edukacją odbyła.

O! nie trzeba zbyt młodych posyłać do Paryża. Paryż posiada tyle ponęt i pokus, które Francuz traktuje od niechcenia. Oprzec się im może człowiek z wyrobionym przekonaniem i ustalonymi zasadami, nie młodzieniec zaledwo żyć zaczynający, wahający się jeszcze w wyborze dróg, a radzący się serca, nie rozum.

Chcecie ażeby wam dopowiedział historią tego blondyna, który mnie tak zainteresował? Krótka ona i niewesoła. On w suchotach. Powodem suchot jest płochosć czarnobrewki Paryżanki, której się żadną miarą w główce pomieścić nie może, ażeby możliwą było rzeczą poprzestać na jednym kochanku.

— Kochaj mnie, ile ci się podoba, powtarza mu często. Twoja miłość mnie zachwyca; ale to niech nie przeszkadza ani mnie, ani tobie pozwalając sobie na... kaprysy. Bez kaprysów, co to za monotonne i nieznosne byłoby życie!...

On się gniewa albo płacze, a ona na to:

— *Allons...* nie bądź-że dzieckiem!...

Całuje go i wycalowuje mu... duszę, niby upiór co ssie krew. Biedny młody człowiek! Jeżeli ojciec jego ma trochę pieniędzy, powinien wszystkie zgromadzić i posłać go do ciepłych klimatów i uzdrowiających wód. Ale w takim razie, nauko, *adieu!*

Temu drugiemu, szatynowi, nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, ale też niema niebezpieczeństwa ażeby się czego nauczył. Łatwym miłośkom poświęcił swój czas i swoją głowę i spodziewać się należy, iż w tym rzemiośle dojdzie do najwyższego stopnia doskonałości. Może w nim rośnie Lovelas jaki, co imię swoje sławnym uczyni. To tylko bięda, że w naszych czasach Lovelasostwo nie popłaca, z tego powodu, że nadzwyczajnie spowszedniało.

A propos Lovelasa i jego skarłałego potomstwa, miałbym kilka wyrazów, pomnożonych na kilkadziesiąt tysięcy, do powiedzenia, gdybym był w treści do niniejszej korespondencji zapisał: „Lovelas.“ Nie uczyniwszy tego, muszę rzecz o tym dziecku fantazyi Richardsonska odłożyć na później, a przystąpić z porządku do innego seduktora, który przed laty podbijał serca i wyobraźnie, w całym świecie, i to nie same tylko kobięce, chociaż przeważnie największego kontyngensu dostarczała mu pięć piękna. Podbijał serca i wyobraźnie, czarował dźwiękiem poetyckiej gęśli, miodyplinnymi wyrazami. Dziś przeminęło to. Utwory jego liczą się zawsze do znakomitych, lecz mówi się o nich na zimno, i cogorzéj, z pewnym rodzajem politowania.

Któż z nas, dzwigających piąty lub czwarty krzyż na barach, nie pamięta tego zapału, z jakim przyjmowano każdy nowy utwór Lamartina? Gdy się co pojawiło, natychmiast rozchwytywano. Zachwyceniu miary nie było. Ci co władali choć trochę

francuzkim językiem, za obowiązek sumienia mieli sobie umieć na pamięć coś z jego poezji, choć kilka wierszy; ci co nie umieli po francuzku, przyznawali się do znajomości jego dzieł w tłumaczeniach, które nie istniały. Wstyd było przyznać się do nieznajomości autora, którego nazwisko wszystkie usta słały. A gdy wybił rok 48, postać poety stała się jak kolos, całemu światu widny. Przypomniano sobie przepowiednię lady Esthery Stanhope i upatrywano w nim męża przeznaczenia, Bożego zesłańca, gwiazdę najpięwszej wielkości. I nagle ta gwiazda... spadła, nie jak gwiazda jednakże, po której nie zostaje nic. Lamartine upadł i... pozostała jego osobistość, z wyciągniętą po jałmużnę ręką.

Myśląc o tym człowieku, niepodobna się obronić bardzo przykreemu uczuciu. Był wielkim, temu zaprzeczyć nie można; rósł w naszych oczach i nie sztucznie podnoszony sposobem, jak tyle innych wielkości, posiadających tylko zaletę sprytu i talentu korzystania z okoliczności. Wartość jego była rzeczywistą, Bożym darem, którym zajaśniał wśród ludzi, a który i dziś nie wywietrzył z jego utworów.

Kto winien jego upadkowi: czy on? czy ludzie? Wiele o tym czytałem, żadna jednakże odpowiedź nie zadowoliła mnie. Nieprzyjaciele jego zwałają winę na niego; przyjaciele, których, niestety! nader szczupła pozostała gromadka, czynią odpowiedzialnymi ludzi. Ani tym ani tamym bezwarunkowo wierzyć nie można. Trzeboby sobie wyrobić zdanie własne, lecz do tego potrzebaby na żywym człowieku wykonać to, co w fizjologii nazywają wiwiseksią, a to trudno. Za życia przeto Lamartina nie można spodziewać się bezstronnego a sprawiedliwego ocenienia człowieka, który sam siebie przeżył. Ocenę go... potomność. Wyda o nim sąd i wyrok... historia.

A tymczasem ten podsądny historii wyciąga rękę po jałmużnę. Żyje w niedostatku i chce się z niedostatku ratować. Niedostatek nie czyni mu krzywdy, ani najmniejszej na jego cześci skazy. Przeciwnie. Mojem zdaniem, jeżeli za co Lamartinowi cześć się należy, to najwięcej za to, że tak wysokie, jakie zajmował, stanowisko zrobiło w jego szkatule różnicę ujemną. Nic nie przybyło, a ubyło wszystko. Służył własną osobą, talentem i majątkiem i, mogąc sobie kazać płacić, nie kazał. To mu przynosi zaszczyt, którego mu i najzawziętszy jego wróg nie odmówi. Ci co radziby ten zaszczyt umniejszyć, obecny jego niedostatek tłumaczą tēm, że strwoił fortunę. Podług mnie, to nie ma nic do rzeczy. Lamartine stracił majątek, bo nie umiał się rządzić, bo żył nad stan, bo wydawał więcej aniżeli mógł; są to wszystko rzeczy poboczne, nie wchodzące bynajmniej do kategorii zarzutów przeciwko niemu. Główna rzecz polega na tēm, że nic nie przyłgnęło do jego ręki, wówczas gdy inni w podobnych okolicznościach, zajmując stanowiska daleko niższe, w krótkim czasie stan ubóstwa zmieniali na kolosalne bogactwo. Jego postać, aż do chwili zejścia ze sceny publicznej, jest czysta, nieskałana. Można mu zarzucać błędy; można te błędy, ubrawszy je w polityczne szaty, podnieść do znaczenia zbrodni; ale nie można charakterowi jego osobistemu nie przyznać nieskazitelności. Ja sam nie należę do bezwzględnych wielbicieli ani jego poetyckiego talentu, ani jego politycznych czynności; jednakże nie mogę odmówić mu tego, na co, zdaje mi się, zasłużył. Żal mi tylko, że tēj nieskazitelności nie utrzymał po upadku.

(Dokończenie nastąpi).

ANTONI OLESZCZYŃSKI.

(Dalszy ciąg).

Przyszły nasz artysta nie przepominał nigdy, że sztuka nie była ostatecznym dla niego celem, ale tylko środkiem służenia społeczeństwu. Tą myślą powodowany, wakacje i święta przesiadywał pilnie w bibliotece, gdzie znalazł nieocenione bogactwa. Wyjednawszy sobie wstęp do inkunabułów i manuskryptów, nagromadził tam liczne notaty, przerysy i kalki, które mu później posłużyły do rytmicznych utworów.

Wytrwałą pracą nad rysunkiem tyle Oleszczyński dokonał, że w przeciągu 2ch lat przebył kurs trzyletni i dostał się do klasy drugiej. Wkrót-

ce potem, otrzymawszy srebrny medal, rozpoczął naukę rytownictwa.

Kształcąc się na wybornych wzorach Edelinga i innych mistrzów rytowniczej sztuki, nasz artysta szybkie czynił postępy i powszechną zwracał na siebie uwagę. Otrzymywane też corocznie pochwały i medale świadczyły o niezamordowanym jego usiłowaniu. Obznajmiwszy się z rylcem, skopiował wielki portret Filipa de Champagne, najznakomitsze dzieło Edelinga. Praca ta zabrała mu rok czasu, lecz nie była daremną, przy niej bowiem oswoił się ze wszystkimi tajemnicami rylca i nauczył się łamać wszelkie trudności sztuki. Akademia, oceniając sposób wykonania, zaszczyliła go medalem srebrnym.

Zbliżał się czas konkursu. Oleszczyński, który w przeciągu siedmiu lat przebył kurs dwunastoletni, umyślił wystąpić z oryginalnym utworem. Narysował więc portret budowniczego akademii i wykonał go rylcem na miedzi. Pracę tę wykończył w sam dzień otwarcia wystawy i lekko stanął do konkursu. Jakaż była radość jego, gdy sędziowie przyznali mu złoty medal, który mu wręczono wraz z honorową szpadą i dyplomem świadczącym o chlubnym ukończeniu nauk akademickich!

Było to we wrześniu r. 1824, artysta ukończył właśnie rok trzydziesty. Oleszczyński postanowił udać się do Warszawy.

Po drodze wstąpił do Kowna, dla obejrzenia miejscowych pamiątek. Ztamąd przyszło mu na myśl odwiedzić generała Paca w dobrach jego dziedzicznych, aby się pomścić w godny sposób za okazaną mu nieufność. Przybył więc do Raczek i przypomniawszy spotkanie.

— Siedem lat temu, rzekł, gdym jechał do Petersburga, pan generał, goszcząc mnie przy stole podróżnym, oświadczył, że radby widzieć moje prace, kiedy skończę nauki. Oto dyplom, pięć medali, szpada i prace moje.

Uradowany Pac, uściskał serdecznie artystę za te słowa.

— Grzeczność twoja, odrzekł, jest zarazem wyrzutem, przypominającym że się na ludziach nie poznaje. Żałuję pomyłki, a raczej cieszę się z niej; widząc bowiem twe dzieła, nie wątpię już teraz, że nabytego talentu potrafiłś, jak zamierzyłeś, użyć na pożytek społeczeństwa. Przecież i ja się kiedyś odemszczę. Do miłego widzenia.

Pozegnawszy Paca, Oleszczyński pospieszył do Warszawy, stęskniony za swoją rodziną. Tam doznał uprzejmego przyjęcia, pisma bowiem rozgłosiły już jego tryumfy i oznajmiły rychły powrót. Minister Grabowski przypomniał mu z rozrzewnieniem owego chrząszcza, który przed trzynastu laty utworzył mu drogę w przyszłość. Edward Raczyński, Linde, Staszic, Niemcewicz i inni mężowie znani w uczonym świecie, okazali mu szczere względy. Ofiarowano mu nawet miejsce profesora rysownictwa w uniwersytecie. Oleszczyński jednak, wolny od zarozumienia, czując ile mu jeszcze niedostaje, oświadczył że pragnie wprzód ukształcić się dostatecznie za granicą, aby godnie odpowiedzieć tak ważnym obowiązkom. Zgodzono się więc na wyjazd jego do Paryża, z pensją 4000 złotych polskich.

Młodszy brat artysty naszego, Władysław, (zmarły niedawno rzeźbiarz znakomity) uczył się wówczas także rytownictwa w warszawskiej akademii. Antoni, poznawszy w próbach jego rzeczywisty talent, postanowił zabrać go z sobą do Paryża, aby się tam wyuczył sztuki medalierskiej. Minister też, oceniając próby Władysława, wyznaczył mu 2500 złotych rocznej pensji i powierzył go opiece starszego brata.

Z radosnym sercem pospieszyli obaj do Kaźmirza, aby powitać drogą matkę. Kilka dni upłynęło jak sen w kółku rodziny, przy owym ognisku domowym, które błogo przyświecało Antoniemu w jego dziecięcych latach. Nadeszła wreszcie smutna chwila pożegnania: matka drżącą ręką pobłogosławiła synów; serce jej uderzało dumą, przewidując przyszłą ich sławę, oczy jednak zalęwały się łzami, bo głos tajemny ostrzegał ją może, iż widzi ich i błogosławi po raz ostatni w życiu.

Dwaj bracia artyści wrócili do Warszawy, zkąd niezwłocznie wyjechali w obce kraje, goniąc za na-

uką i sławą. W ciągu trzymiesięcznej podróży zwiędli dokładnie główne miasta niemieckie, holenderskie i flamandzkie, przyglądając się pilnie po galeriach arcydziełom wielkich mistrzów, zawiązując stosunki z artystami, a przede wszystkim odgrzebując gorliwie pamiątki ojczyste, których tyle pozostało wśród obcych. Obaj bracia utrzymywali dyaryusz podróży, zapisując w nim wszystko, cokolwiek zajęło ich uwagę.

Przybyli nakoniec do Paryża, gdzie z zapałem wzięli się do pracy. Pierwsze stosunki z artystami i profesorami ułatwił im Norblin, urodzony w Warszawie, syn sławnego malarza z czasów Stanisława Augusta. Antoni Oleszczyński, nim się zabrał do sztuki rytowniczej, pragnął wprzód wydoskonalic się w rysunku; w tym celu więc kopiował arcydzieła wielkich mistrzów w bogatym muzeum paryżkiem. Przygotowawszy się dostatecznie, poniósł rysunki swoje do Richomma, najznakomitszego wówczas rytownika we Francji, z prośbą aby go przyjął do pracowni swojej i poprowadził tak, żeby kiedyś mógł objąć katedrę i godnie wywiązać się z profesorskiego zawodu. Richomme obejrzał pilnie jego prace.

— Pod względem rylca, rzekł, nie masz się czego uczyć, brak ci tylko metody i umiejętnego rozporządzenia strychów. Radzę ci teraz, poprobujsi swoich rytowaniem z natury, na wzór tutejszych i włoskich akademij. Narysuj więc model i ten wykonaj rylcem. Studium podobne, jako najtrudniejsze w sztuce, pokaże ciem być mogą dalsze prace twoje.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd polityki zagranicznej.

5 kwietnia.

Telegramy zagraniczne codziennie co innego głoszą w przedmiocie stosunków dworu francuzkiego z pruskim. Dziś pokój, jutro wojna, nazajutrz znów pokój, i t. d.; oto streszczenie wiadomości podawanych przez dzienniki, a przyczyną tego wszystkiego stała się, czy też stać się ma, kwestya luksemburska, która z małoznacznego układu między sąsiadami, doszła dziś do olbrzymich rozmiarów kwestyi europejskiej. Czy Holandia odstąpi Francji księstwo luksemburskie, czy to nastąpi za zgodą Prus (a więc pokój), czy też bez ich zezwolenia (a więc wojna), oto powód głębokich w dziennikarstwie rozpraw i sporów. Deputowany do parlamentu niemieckiego, Benningsen, interpelował rząd w tej sprawie, żądając wyjaśnienia i doradzając raczej wojnę jak ustępstwo, a z odpowiedzi hr. Bismarcka nie stanowczego wywnioskować nie można. Urzędowy dziennik holenderski Staats-Courant, nie przeczy układowi, powiada tylko że ustąpienie jeszcze nie nastąpiło i że wymaga zgody mocarstw interesowanych; lecz czy do tej kategorii zaliczyć wypada tylko Francją i Prusy, czy też i mocarstwa na traktatach z 1817 roku podpisane, (Austria, Anglia, Rosya, Prusy i Holandia), tego dziennik ten nie wypowiada stanowczo. Zdaje się że główną osią kwestyi jest sposób zapatrywania się Prus na księstwo luksemburskie; jeżeli bowiem rząd pruski uznaje je za niemieckie, to nie może ustąpić go Francji. Pisma rozważne utrzymują, że pomimo wszystkich wieści i pogłoszek, należy wierzyć w pokój, z powodu że Francya nie jest gotową do wojny, że ani liczbą pułków i baterij, ani bronią nie może się mierzyć z Prusami, które obecnie liczą przynajmniej o 250,000 żołnierzy więcej od Francji. W dniu 1 kwietnia nastąpiło otwarcie Wystawy powszechnej w Paryżu, przy wielkim udziale licznie zgromadzonej publiczności; lecz wbrew przewidywaniom, nie było ani mowy, ani żadnej urzędowej uroczystości. O godzinie 2giej z południa cesarz Napoleon, w czarnym fraku, przybył z małżonką na miejsce wystawy, gdzie reprezentanci angielscy i francuzcy przyjechali dostojną parą. Osób obecnych było do 30,000. Jednak połowa zaledwie robót ukończona, tak że po wielu jeszcze wydziałach tysiące pak zalega. Pogłoski o agentach francuzkich, zwiędzających Frankfurt, Wiesbaden, Moguncyą, Koblencyą i t. d. dotąd nie zaszlugują na wiarę. Cesarzewicz następcą tronu jeszcze nie wrócił do zdrowia.

Zebrane nad horyzontem grecko-tureckim chmu-

W drukarni J. Ungra.—Za pozwoleniem cenzury.

ry zaciemniają się coraz bardziej, a kwestya doszła do takiego punktu, iż niepodobna prawie wierzyć w pokojowe jej załatwienie. W zeszłym tygodniu rozpuszczono pogłoskę o zbiorowej nocie mocarstw europejskich do Turcyi, doradzającej temu państwu ustąpienia Kandyi Grekom. Nota nie przyszła do skutku, jak głoszone, z powodu niezgody mocarstw na warunek poręczenia Porcie reszty jej posiadłości. Obecnie twierdzą, że mocarstwa pojedynczo doradzały oddanie Grekom Kandyi, lecz sułtan odrzucić miał te rady i oświadczyć, iż wszystkie obietnice dane w 1856 r. zostały wykonane. Dziennik Times utrzymuje, że w Atenach uważają blizką wojnę z Turcyą za fakt niewątpliwy. Tenże dziennik zapowiada wielkie powstanie w Epirze i Tesalii, które stanie się hasłem żartatego boju i jeszcze tego lata rozstrzygnie los Konstantynopola. Niechybnym następstwem tej wojny ma być, według Timesa, rozpadnięcie się Turcyi europejskiej na trzy wielkie państwa: greckie, rumuńskie i serbskie. Według wiadomości odebranych ze Wschodu w Tryeście, Porta odrzuciła autonomiczne żądania wicekróla Egiptu, ten zaś zagroził iż wycofa swe wojska z Kandyi i przestanie wypłacać coroczną daninę. Godnym jest także uwagi, iż silna eskadra włoska szykuje się do wycieczki na wody wschodnie.

Wikłające się sprawy Wschodu silnie oddziaływają na całą zewnętrzną i wewnętrzną politykę Austrii, jako mocarstwa dotykającego granic Turcyi, którego najżywniejsze interesa związane są bezpośrednio z przyszłym losem pogranicznych słowiańskich prowincyj. Dzienniki czeskie donoszą, że na granicy Serbii Austriacy zbierają silny korpus, że gabinet wiedeński baczone ma oko na stan tego księstwa i że rząd cesarski stanowczo miał zaprotestować w Belgradzie przeciw zamierzonemu wcieleniu Bośni do Serbii. Jakkolwiek wiadomości te nie są urzędowe i nie należy im zbyt dawać wiary, wykazują jednak, że Austrii rzeczywiste z tej strony grożą kłopoty. W tych to właśnie kłopotach upatrywać należy powód szerokich dla Węgrów ustępstw, które wzmocniając rząd wiedeński nad Dunajem, osłabiają go wszakże nad Mołdawą; Czesi bowiem domagają się zaczynając autonomii na wzór węgierskiej, powołując się w równy z niemi mierze na dawne traktaty i zobowiązania. Ze okoliczności te nie pozostają bez wpływu i na zewnętrzną postawę Austrii, dowodzi widoczne oziębienie stosunków z Francją i kielkująca myśl przymierza z Prusami. Wprawdzie niektóre dzienniki austriackie zaprzeczają tej ostatniej wieści; zdaje się jednak że rzecz sama przez się nie jest nieprawdopodobną. Cesarz austriacki bawi w Peszcie, dokąd zjechali także baron Beust, hr. Gołuchowski i inni mężowie stanu na naradę. Koronacya cesarza Franciszka odbyć się ma w maju, że zaś w tymże samym miesiąc czasie zebrać się ma rada państwa, przeto spodziewać się należy ciekawych o tych dwóch uroczystościach sprawozdań.

Ostatnie depesze. Paryż 4 kwietnia. Dzienniki opozycyjne zaprzeczają półurzędowym, aby oświadczenia pana de Bismarck mogły być w duchu pokojowym wyłożone. Następca hr. Walewskiego w Ciele prawodawczym jeszcze nie zatwierdzony.

Konstantynopol 3 kwietnia. Sułtan przyjął księcia serbskiego z wielką uroczystością i udzielił mu brylantowe ozdoby orderu Osmanli.

Nowy York 31 marca. Donoszą z Meksyku, że w Vera-Cruz ogłoszono stan oblężenia.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)

HISTORIA RZYMSKA MOMMSENA.

Zeszyt 3ci wyjdzie 10 b. m., następne zaś co 10 dni najregularniej wychodzić będą.

Cale dzieło składać się będzie z 4 tomów czyli zeszytów 36.—Cena rsr. 8.—Prenumerata przyjmuje się po rsr. 1.

Pragnący na prowincyi mieć to dzieło, przysłać raczą pod adresem wydawcy rsr. 4, oraz przy odbiorze zeszytu 12go drugie rsr. 4, a egzemplarze będą sobie mieli przesłane franco.

Józef Unger.